MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 9. WARSZAWA, 12 LUTEGO 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

WOBEC NOWYCH NIEMIEC

POWOŁANIE Adolfa Hitlera na Kanclerza Rzeszy, jakkolwiek dokonało się bez „marszu na Berlin", wydaje się mieć wagę dziejową nie mniejszą, niż objęcie w swoim czasie steru życia włoskiego przez Mussoliniego. Powstały nowe Włochy, a dziś w oczach naszych rozpoczynają życie nowe Niemcy. Narazie jedna plamka mąci jeszcze kontury obrazu: oto Hitler dochodzi do władzy w kompromisie z Hugenbergiem i Papenem. Jak istnienie takiego kompromisu zaciąży na polityce nowego kanclerza, do jakiego stopnia i na jak długo skrępuje go w realizacji istotnych punktów jego programu? Pokaże to najbliższa przyszłość, a wiele światła w to zagadnienie wniosą wybory do parlamentu niemieckiego, mające się odbyć niebawem.

Dla Polski dojście do władzy Hitlera — to poważne *memento*. Z jednej strony z Hitlerem dochodzi w Niemczech do władzy obóz, który z całą siłą proklamuje wobec Polski dążenia zaborcze, z drugiej — i o tem nie pamięta się często — obóz, który dzięki całej swej literaturze i propagandzie politycznej podejmuje skutecznie trud odrodzenia niemieckiego narodu po rewolucji 1918 r.

Czy objęcie władzy przez Hitlera przyśpiesza wojnę, czy też ją oddala? — Oto pytanie dla nas istotne w takiej chwili.

Hitler bierze w swe ręce władzę w okresie dla Niemiec nader trudnym. Stosunki wewnętrzne Rzeszy, naskutek kilkunastoletnich rządów żydowsko-socjalistycznych, których dziełem jest konstytucja wejmarska, przedstawiają obraz groźny; dorobek międzynarodówek na terenie Niemiec — to miljony głosów komunistycznych, padających przy wyborach do parlamentu. To też ruch Hitlera ocalenie Niemiec widzi przedewszystkiem w uzdrowieniu stosunków wewnętrznych, w oczyszczeniu życia niemieckiego z naleciałości obcych, w pielęgnowaniu czystości rasy i wychowaniu młodego pokolenia zdala od destrukcyjnych wpływów. Na tej drodze hitleryzm doszedł do niedwuznacznego sformułowania swego programu wobec żydostwa i wolnomularstwa. Podjął walkę o duchowe odnowienie Niemiec, zaś na czele swego programu w tej dziedzinie postawił wyplenienie z życia niemieckiego rozkładczych wpływów żydowskich. Żydzi pasorzytować mogą tylko na narodzie chorym — stało się jego tezą naczelną. Naród niemiecki jest jeszcze chorym i hitleryzm ma go uzdrowić, choćby leczenie było bardzo przykre.

Zadanie, jakie sobie zakreślił ruch hitlerowski, jest i trudne i wymaga wiele czasu. Odkładając je na później, czy też rzucając świat, a z nim i Niemcy w zawieruchę nowej wojny, hitleryzm rzuciłby na łaskę wiatrów swe istotne powołanie, swoją najważniejszą misję — pracę nad uzdrowieniem Niemiec. Byłoby to niewątpliwie na rękę międzynarodówkom, szczególnie zaś żydostwu, którego wszystkie siły nie starczyły na to, by Hitlera od kanclerstwa odsunąć.

Nie wiemy, czy nowy rząd znajdzie dość mocy wewnętrznej, by zdobyć się na trudny akt zawieszenia na dłuższy czas miecza, by przeorać rodzimy grunt aż do najgłębszych pokładów ziemi, by wyplenić chwasty, krzewiące się od wieków w niemieckiem życiu, ale tak chyba dyktuje mu odpowiedzialność dziejowa wobec niemieckiego narodu.

W każdym razie poprzednicy Hitlera, czy to nieboszczyk Stresemann, czy też jego następcy, choćby ostatnio Schleicher, nie mieli tych trosk o leczenie narodu niemieckiego, nie stawiali sobie trudnego zadania uzdrowienia Niemiec przez eksterminację żywiołu żydowskiego i jego wolnomularskich emanacyj. Mogli więc z całą swobodą wydrzeć Hitlerowi demagogiczny atut i, ratując żydostwo światowe przed „zwierzęcym antysemityzmem", zapalić Niemcy pożogą wojny. Dla Hitlera hamulcem może się stać głębokie poczucie misji dziejowej wobec narodu niemieckiego.

Rozpętanie wojny w najbliższym czasie nie leży w interesie hitleryzmu, ani jego wodza. Czy nie leży w jego zamiarach na najbliższą przyszłość? O tem wie tylko on sam i jego najbliżsi.

Wojna polsko-niemiecka, pożoga światowa leży dziś chyba przedewszystkiem w interesie tych,

którzy boją się Hitlera, jak ognia. Chodzi przecież o to, by dojście do władzy Hitlera nie stało się likwidacją dzieła ojca asymilacji i zażydzenia Niemiec, Mojżesza Mendelssohna, lecz właśnie likwidacją nauki o zachowaniu czystości rasy.

My, którzy zawsze staliśmy i stoimy niezachwianie na straży naszych granic zachodnich, mamy prawo moralne powiedzieć bez obsłonek, że rząd Hitlera tylko wtedy mógłby się dzisiaj decydować na wojnę, gdyby nabrał przekonania, że da się ona zamienić... w efektowny, trjumfalny pochód przez nasze zachodnie dzielnice. Perspektywa krwawej, długotrwałej wojny nie powinna być ponętą dla obozu odrodzenia Niemiec.

TADEUSZ GLUZIŃSKI

WALKA O AUTONOMJĘ UNIWERSYTECKĄ

(Dokończenie)

8. WYJAŚNIENIE OBECNEGO KIERUNKU BIUROKRACJI, WROGIEGO AUTONOMJI WYŻSZYCH UCZELNI

SĄDZĘ, że zrozumienie obecnego kierunku administracji w zakresie wogóle szkolnictwa, oraz przypuszczalnego rozwoju tego kierunku w przyszłości można oprzeć tylko na zrozumieniu psychiki pana Ministra, gdyż usunie to i przesadne obawy, oraz niepewne nadzieje, jakie niektórzy żywią, jak zwykle chwytając się lada słomki, dla oparcia swego optymizmu. Postaram się, choć może niezupełnie, jak umiem i wiem, tę sprawę wyjaśnić. Pana Ministra Jędrzejewicza miałem sposobność widzieć raz w życiu — i to u siebie, w lipcu 1914 r., przed samą prawie wojną. Wiedziałem wtedy tylko, że studjował matematyczne nauki na naszej Wszechnicy, przeciwko której później, to jest teraz przed rokiem, tak ostro i bezwzględnie wystąpił z racji jej znanego memorjału w sprawie reformy wykształcenia w Polsce. Wtedy, gdy go poznałem i widziałem, w rozmowie, która się potoczyła o nastrojach młodzieży, robił na mnie wrażenie sympatyczne, bo typu idealistycznego młodzieży, nie karjerowiczowskiego, którego nie znosiłem nigdy i nie znoszę szczególnie teraz, gdy się tak rozpowszechnił. Potem go już wcale nie widziałem, a tylko dochodziły mnie o nim wieści, które różnie mi kształtowały jego typ psychiczny. Słyszałem o jego udziale w Legjonach, ale nie miałem sposobności spotkać się z nim z racji mojej dwumiesięcznej współpracy w departamencie wojskowym Naczeln. Komitetu Narodowego (N.K.N.), z którego wraz z 9 członkami, zrażonymi stosunkami w N. K. N. i coraz silniejszą współpracą z prusactwem, wystąpiłem w październiku 1914 r. Słyszałem tylko, że brał udział w ówczesnych walkach na froncie, przynajmniej tak mi mówiono, co oczywiście podnosiło go w moich oczach, pomimo ententofilskich moich tendencyj. Słyszałem, że po powrocie J. Piłsudskiego i po objęciu przez niego władzy — został jego adjutantem. Potem długo o nim nie słyszałem. Dopiero prasa przyniosła o nim wiadomość, jako o uczestniku, a raczej inicjatorze słynnej konferencji oświatowej w Łowiczu, która zyskała sobie opinję lewicowej przez udział w niej niektórych bojowników, bardzo wolnomyślnych, zwłaszcza w stosunku do wiary i Kościoła katolickiego tendencyj. Równocześnie mówiono o nim, jako o kierowniku Seminarjum, później wizytatorze szkół, o jego coraz większym wpływie w Ministerstwie W. R. i O. P., w którem poczytywano go w pewnych kołach, znających stosunki wewnętrzno-polityczne po maju 1926 r.— za rodzaj „*homo regius*“, znany więcej na Węgrzech, a nieznany w Polsce. Podobno miał mieć duży wpływ na zmieniających się wówczas dosyć często Ministrów W. R. i O. P. To wszystko już określało go coraz bardziej jako człowieka pewnego sposobu myślenia, raczej typu dyktatorskiego, a nie społecznego, nie szukającego więc kontaktu ze społeczeństwem. Po Brześciu przeczytałem w maju 1931 r. wyjątek z jego przemówienia wyborczego w Lublinie, umieszczony w „Ziemi Lubelskiej“, a który niedwuznacznie precyzował jego stosunek do tych wypadków w słowach: „za mało bito“. Podobnie powtarzały pewne arystokratyczne panienki na pewnej arystokratycznej kolacji w domu swoich rodziców z racji rozmowy o tych wypadkach, gdy, nalewając wino swoim gościom, oświadczały: „tak, za mało bito“ co zapewne w szerokich masach nie będzie, niestety, nigdy zapomniane tym nieostrożnym panienkom. Potem dowiedziałem się, że objął Dyrekcję Wyższej Szkoły Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie, spełniającej rolę Szkoły Nauk Politycznych w Wilnie, ale nie połączonej, jak Krakowska Szkoła Nauk Pol. z Wydziałem Prawnym Uniw. Jagiell., lecz stojącej zupełnie poza wszelkim kontaktem formalnym z Uniwersytetem Wileńskim. Została ona zaliczona obecnie, na mocy rozporządzenia Rady Ministrów z dn. 17 października 1932 r., do zakładów naukowych wyższych w rozumieniu art. 11 ustawy o państwowej służbie cywilnej, ale nie w rozumieniu art. 108 Ustawy o szkołach akademickich z 13 lipca 1920 r., wymagającego „uprzedniego wysłuchania opinji ogólnych zebrań (względnie Senatów) wszystkich państwowych szkół akademickich i już uznanych szkół prywatnych tego samego typu“ (art. 108), oraz w myśl art. 109 tejże Ustawy, że „szkoły akademickie prywatne mogą otrzymywać niektóre lub wszystkie prawa szkół akademickich państwowych tylko w drodze osobnej ustawy, na wniosek Ministra W. R. i O. P., wniesiony po wysłuchaniu opinji Rad Wydziałowych wszystkich państwowych szkół i już uznanych szkół prywatnych tego samego typu“. Według par. 2 Statutu tej Szkoły podlega ona władzy zwierzchniej Ministra W. R. i O. P. bez pośrednictwa podległych Ministerstwu władz szkolnych. Plan nauki zatwierdza Minister W. R. i O. P. i w Szkole tej każdy profesor i wykładający, zgodnie z ogólną formułą uczelni wyższych, „ma prawo podawania i oświetlania według swego naukowego przekonania i sposobem naukowym wszelkich zagadnień dotyczących gałęzi, której się poświęca i ma on również swobodę w wyborze metod wykładów i ćwiczeń“. Ten nowy u nas typ szkoły, z uprawnienia słuchaczów „wyższej“ — widocznie najlepiej odpowiadał psychicznemu nastawieniu przyszłego Ministra W. R. i O. P., gdy został jej Dyrektorem: bezpośrednia jej zależność od Ministra, bez pośrednictwa jakichś uniwer-

syteckich władz, tutaj widocznie uznanych za zbędne, ale tem samem bez zwykłej kontroli naukowej i współpracy naukowej tych władz, która stanowi o istocie naukowej każdej wyższej szkoły, uznana tu została jako najbardziej wskazana. Zrozumiałem, że takie nastawienie psychiczne do typu zakładu naukowego wyższego p. Ministra jest i będzie miarodajne przy traktowaniu wszelkich uczelni wyższych starego typu, które nowy projekt ustawy będzie się starał upodobnić do powyżej opisanej szkoły, a która może być i z pewnością jest dobrą szkołą zawodową pewnego kierunku. Społeczeństwo wileńskie, najbliższe tej szkoły, jest nieco zdezorjentowane co do charakteru tej szkoły: niektórzy nazywają ją Szkołą Sztabu Generalnego z racji odkomenderowania corocznie pewnej ilości oficerów, służących w miejscowym lub najbliższym garnizonie, co nie jest ścisłem, gdyż należą tu też, jako uczniowie, nauczyciele lub kandydaci na nauczycieli szkół średnich lub seminarjów z tego okręgu i też z wolnych zawodów. Z tej to szkoły, ze stanowiska Dyrektora — pan Minister został przeniesiony na stanowisko Ministra W. R. i O. P. i odtąd też jest dla mnie zrozumiałem traktowanie wogóle sprawy autonomji Szkół wyższych pod kątem widzenia przeżytych, choć krótkich, wrażeń w tej Szkole wileńskiej. Dlaczego Rektor Uniwersytetu nie ma być czemś w rodzaju Dyrektora, podległego bezpośrednio Ministrowi, dlaczego nie ma być w naszych Uczelniach wyższych tej samej kontroli ze strony administracyjnych organów Ministerstwa? Dlaczego nie jest zbędny częsty i stały kontakt sił naukowych i naukowa ich współpraca, jaka się odbywa na każdym Wydziale Uniw., Studjum samodzielnem Wyższej Uczelni, kiedy tu w tej Szkole Rada profesorów (z akademickich szkół powołanych, a nie wybranych przez samą Radę), zbiera się przynajmniej raz do roku, i rozważa wszelkie sprawy, związane z programem, metodą wykładów i t. d.? Profesorowie ci, oprócz Dyrektora, dają tej Szkole nie całą swoją pracę naukową, bo są związani swemi obowiązkami przedewszystkiem gdzieindziej, gdzie mogą swój wpływ naukowy wywierać, tu są tylko chwilowymi prelegentami, którzy na rok przyszły mogą przestać być nimi. Szkoła ta więc swojej własnej istoty duchowej, swego ducha naukowego nie ma i mieć nie może. Szkoła Nauk Politycznych w Krakowie, stanowiąca pod względem programu i rozmiaru wykładanych przedmiotów coś analogicznego do Szkoły wileńskiej, zasadniczo się różni tem, że zostaje jednak ściśle pod opieką i nadzorem Wydziału Prawa i Admin. Uniw. Jagiell., który nadaje jej ze swego grona kierownika (Dyrektora), opiekuje się nią pod względem doboru wykładowców i pod względem ustalania corocznego programu. Ale z pewnością odczuwa kardynalny ten brak tego typu szkoły, wynikający z jej ustroju, mianowicie, że niema tu katedr różnych umiejętności politycznych i stąd nie może ona całkowicie odpowiedzieć ideałowi samodzielnego naukowego studjum. Jest ta szkoła, pomimo tego zasadniczego defektu, szkołą pożyteczną zawodowo, ale wyrobić ze swoich słuchaczów samodzielnych badaczy naukowych, kształcących się i wyrabiających pod stałą opieką i kontrolą naukową katedr, których tu samodzielnych niema, nie jest w stanie. Pod względem jednak organizacji Szkoła krakowska stoi wyżej od Wileńskiej, przez to, że ma opiekę i kontrolę naukową ze strony Wydziału prawnego Uniw. Jagiell., gdy Wileńska, wskutek swej organizacji odmiennej, tego niema. Sam, jako Dyrektor Wyższego Naukowego Kursu spółdzielczego przy Wydziale Rolniczym Uniw. Jagiell., odczuwam bardzo silnie — brak katedry spółdzielczości oraz katedry nauk handlowych, któreby kierunek naukowy objęły i naukowo słuchaczy kursu wyrabiały — z powodu braku funduszów nie możemy nawet marzyć o rychłem utworzeniu tych niezbędnych katedr. Kurs nasz jest dobrym kursem zawodowym, lecz pełnych aspiracyj naukowych w braku tych katedr mieć nie może.

Na tym przykładzie organizacji Wileńskiej Szkoły, zaznaczyło się wyraźnie odmienne nastawienie pod względem organizacji szkół wyższych i zrozumienia celów naukowych i stąd psychiczny stosunek do tego rodzaju problemów— b. Dyrektora tej Szkoły, a obecnego p. Ministra W. R. i O. P., który rozumie i uznaje tylko ściśle podległe Ministerstwu zakłady naukowe, bez żadnych restrykcyj, chociaż w par. 4 Statutu stara formuła o „wolności nauczania“ jest także podana, jako konieczny dla każdej szkoły „wyższej“ ornament, ale niema tu warunków dla wolności nauki i dla rozwoju swobodnego tej nauki.

9. OCENA ROZPORZĄDZENIA P. PREZYDENTA Z 27 PAŹDZIERNIKA 1932 R. I PROJEKTU NOWEJ USTAWY

Ten pogląd musiał się odbić i na Rozporządzeniu Prezydenta R. P. z paźdź. 1932 r. i na nowym projekcie Ustawy o szkołach akademickich. Szczególnie charakterystyczne jest Rozporządzenie; mianowicie już nie Rada Ministrów stawia wniosek Prezydentowi o mianowanie profesorów, jak było dotąd według dotychczasowej Ustawy, ale sam Minister W. R. i O. P. bez Rady Ministrów, a tylko porozumiewa się co do wniosku nie z całą Radą, to jest nie podlega jej głosowaniu, ale z prezesem Rady Ministrów, co wszystko rozszerza i tak już bardzo wielką władzą Ministra. W art. 12 wstawiony jest nowy punkt 1, w brzmieniu dotychczas na terenie uniwersyteckim nieznanem i niespotykanem, które oczywiście ma na celu jeszcze bardziej ograniczyć swobodę obywatelską profesorów, zabezpieczoną, jak każdemu obywatelowi państwa, dotąd przez Konstytucję: „nie wolno wchodzić w związki lub zmowy, które mogą zakłócić należyty bieg zarządu państwowego, lub normalnego toku służby“. I tak niesłychanie ważne ograniczenie praw obywatelskich profesorów nastąpiło nie przez uchwałę Sejmu, mogącą zmienić Ustawę o szkołach akademickich, która nie zawiera niczego podobnego, zostawiając to ogólnym ustawom karnym, o ile chodzi o zbrodnie stanu, lecz zostało wprowadzone przez Rozporządzenie p. Prezydenta, przeznaczone normalnie na wypadki i sprawy wyjątkowe i nagłe. Przyszło tu i dodanie nowego art. 23, cofniętego jednak w r. 1928 wskutek sprzeciwu ówczesnej Konferencji Rektorów, zato teraz bez uprzedniego jego posłania do opinji choćby Konferencji Rektorów. Ten niezmiernie ważny artykuł, dający Ministrowi W. R. i O. P. dyskrecjonalne prawo najdalej idącej reorganizacji szkół akademickich, ich wydziałów, oddzia-

łów i studjów aż do znoszenia katedr bez opinji i zgody ciał uniwersyteckich, został wprowadzony Rozporządzeniem, przeznaczonem tylko na wyjątkowe i nagłe wypadki, gdy na Ustawę sejmową niema czasu. Oczywiście artykuły dyscyplinarne, znane nam z Rozporządzenia p. Prezydenta z lutego 1928 r., zostały w tem nowem Rozporządzeniu z 27 paźdz. 1932 r. wydatnie rozszerzone i zaostrzone, ażeby mogły służyć na opornych i niewygodnych profesorów, choćby ci ludzie położyli niezmierne zasługi dla organizacji studjów naukowych lub dla rozwoju danej dyscypliny naukowej. To też wszyscy doskonale rozumieją, jakie cele ma to nowe Rozporządzenie Prezydenta R. P. z 27 X. 1932, i zdają sobie sprawę z jego doniosłości szkodliwej dla wolności nauki i swobody przekonań profesorów uniwersyteckich.

Wślad za tem Rozporządzeniem z mocą ustawy, które bez wiedzy i opinji najbardziej zainteresowanych niem Uczelni wydane zostało, zwłaszcza gdy Minister obdarzony został niezwykłą władzą, nieznaną nigdzie, chyba tylko w Sowietach, reorganizacji studjów i kasowania katedr i w związku z tem usuwania profesorów przez przenoszenie ich w stan nieczynny, pojawił się projekt nowej Ustawy o szkołach akademickich, jak gdyby nie wystarczały jeszcze owe dwa Rozporządzenia Prezydenta R. P., profesora politechniki lwowskiej, stąd więc na zawsze sprzęgnięte z jego nazwiskiem.

Nie będę się starał do uwag o projekcie nowej Ustawy, wygłoszonych czy specjalnie napisanych przez najwybitniejszych przedstawicieli naszej nauki, przez konferencję Rektorów lub enuncjacje całych Wydziałów i Senatów Wyższych Uczelni, dorzucać swoich uwag, tak zostały bowiem oświetlone wszystkie złe i szkodliwe dla rozwoju polskiej nauki punkty tego nowego projektu, że niema właściwie nic do dodania. Można tylko stwierdzić, że wszystkie zarządzenia biurokratyczne, omawiane przezemnie powyżej, zostały tu skodyfikowane i mają otrzymać przez Sejm moc Ustawy. Najbardziej może wnikliwie ujął ocenę ogólną tego projektu prof. politechniki warszawskiej Swiętosławski, europejskiej sławy i miary uczony, określając jego założenie, które w swoim obecnym artykule o walce o autonomję również starałem się zaznaczyć, iż „projekt ten oparty został na powziętej zgóry teorji, że ciało zbiorowe nie jest zdolne do płodnej i pożytecznej akcji i dlatego należy dać pełnię władzy osobie, stojącej na czele Ministerstwa Oświaty i że przyjęty punkt widzenia sprawił, że niepodobna znaleść w ustawie paragrafu, którego wykonanie nie mogłoby być sparaliżowane przez odpowiednie rozporządzenie Ministra Oświecenia i nakoniec, że w tem znaczeniu Ustawę, poza kilku paragrafami, ustalającemi funkcje Rektorów, Dziekanów i profesorów i innych“ należących do ciała pedagogicznego, możnaby było zastąpić krótko ujętym paragrafem, że Minister zostaje upoważniony do wydawania wszelkich zarządzeń, regulujących życie szkół akademickich“.

Istotnie, to założenie ogólne projektu zostało znakomicie ujęte, a przez to i cała autonomja uczelni wyższych, której nowelizacja w sensie jej rozszerzenia a nie ograniczenia była zamierzona przez Uczelnie, została właściwie praktycznie zawieszona, lub jak kto chce to nazwać, usunięta.

Odczuły to wszystkie uczelnie wyższe, w formie jednogłośnych prawie uchwał protestujące przeciw temu projektowi. Nie znalazło się żadne ciało zbiorowe uniwersyteckie, któreby nie wyraziło takiego protestu. Jeżeli pan Minister w wywiadzie prasowym powoływał się, że liczni poważni członkowie uczelni wyższych wspierali go swoją radą przy ustalaniu tego projektu, to widocznie, rozważywszy dokładniej sytuację ogólną i osobistą, zdecydowali się oni dać pokój jakiejkolwiek obronie tego projektu, bo dotąd (poza wystąpieniami na Komisji oświatowej pp. Stefki, Czernego, Wałka-Czerneckiego, no i prof. Czumy z Lublina) nigdzie tej obrony nie słyszymy, ani nie widzimy, zwłaszcza w zbiorowych obradach profesorskich. Widocznie brak im na to odwagi i nie chcą zerwać ostatnich nici z ciałami, do których należą.

Dlaczego nie wystąpili dotąd z obroną projektu, jeżeli go nawet p. Ministrowi doradzali? To jest bardzo charakterystyczne, jako objaw wyraźny siły i powagi opinji naukowej, przed którą musieli się ugiąć rzekomi zwolennicy ograniczenia własnej autonomji swoich uczelni.

Najwyższe nasze ciało, Akademja Umiejętności, a z nią i Towarzystwa Naukowe w Warszawie i Lwowie, również bardzo mocny protest przeciw owemu projektowi podniosły. Jak dotąd, nie słychać, poza brukowemi dziennikami, smutnej, pornograficznej i sensacyjnej sławy, żadnego poważnego głosu za projektem. Zjednoczyli się w tej negatywnej opinji wszyscy, nawet o bardzo rozbieżnych opinjach w innych sprawach publicznych, narodowcy, ludowcy, socjaliści, nawet sanatorzy, tak że zgoda co do tego panowała i panuje zupełna. Oczywiście całe młode pokolenie, które ma być według nowej ustawy urabiane, we wszystkich swych licznych kołach i kółkach naukowych zaniosło protesty, nieraz bardzo gwałtowne, jako czująca swą krzywdę młodzież, przeciw projektowi.

X PROGNOZA NA PRZYSZŁOŚĆ

Zdawałoby się, sądząc zwykłym rozumem, że wobec tak jednomyślnie nagatywnej opinji, udowodnionej w przelicznych memorjałach i rezolucjach, projekt ten zniknie z powierzchni i złożony będzie, jako zupełnie poroniony płód biurokracji ministerjalnej, do archiwum. Tak myślą niektórzy nieuleczalni optymiści, nieuleczalni oportuniści, wystrzegający się zawsze żywszego odporu, ażeby, jak mówią, nie zagrozić dobrej sprawie.

Ale myślą nieopatrznie i nie znając przeciwnika, jak go znamy my, którzyśmy od tylu lat z nim walczyli, wyjąwszy zaszczytne wyjątki, to jest nie znając biurokracji a także nie znając psychicznego podłoża pana Ministra. P. Minister jako człowiek wojskowego typu, choć nie pułkownik, ale zawsze major, nawykły do spełniania posłusznie udzielonych mu poruczeń od „miarodajnego czynnika“, jak się to teraz mówi, jako „*homo regius*“, spełni dane mu polecenie bezwzględnie, to jest projektu nie cofnie, jeżeli go jeszcze nie zaostrzy, nie przyłoży też ręki do cofnięcia Rozporządzenia p. Prezydenta R. P. z 27.X.1932. Sejm w swej posłusznej większości nie pójdzie za przykładem

profesora Krzyżanowskiego i Staniewicza i uchwali ten projekt cały posłusznie i wniosek o cofnięcie rozporządzenia z 27.X.1932 odrzuci. To jest pewne.

Ale co dalej?

Przyjdą ciężkie czasy dla nauki, pewna część profesorów z pewnością skutki tej Ustawy osobiście odcierpi ze szkodą dla nauki. Młodzież będzie wzięta w policyjne obcęgi i będzie, jako element nieposłuszny zamiarom obecnego systemu prześladowana. Oto co będzie w najbliższych czasach, które mogą być długie i gorzkie.

Ale to trzeba przetrwać, przecierpieć i doczekać świtu lepszej przyszłości dla Narodu. Przyjdzie, bo przyjść musi ciężki konflikt z Kościołem — przyjdzie „walka kulturna", bo chodzić będzie o najwyższe walory moralne — którą Naród i Kościół wygrają, bo są silniejsze moralnie. Cała nadzieja w młodzieży, a ta nie ugnie się — bo do niej należy młodzież usposobiona narodowo i wierząca. Młodzież przeciwnego autoramentu, a przychylna systemowi obecnemu, przejdzie do komunizmu w znacznej części i przez to oderwie się od Narodu i w pewnej mierze przepadnie dla Niego. Oto co będzie. *Nil desperandum.*

STEFAN SURZYCKI

„MOCNY"

(W 200-tną ROCZNICĘ ZGONU AUGUSTA II-go) [1])

JEŻELIBY do znanej skądinąd postaci najzgubniejszego tego monarchy na tronie polskim zastosować dawne kryterja Taine'owskie rasy, momentu i środowiska i gdyby wpierw się zastanowić nad najważniejszym z nich, to jest rasą, to bywalcom Drezna zaraz stanąć w oczach powinien korowód książęcy, wyobrażony na jednej ze ścian tamecznego zamku. Wspomną, jak na „sgraffitie" Walthera dostojna posuwa się kawalkada, a kawalkada ta, to zarazem drzewo genealogiczne Augusta Mocnego po mieczu.

Jadą więc na czele kawalkady bracia dwaj renesansowi: Moryc i August, za nimi ujeżdża Chrystjan I, za nim Chrystjan II, którego trzech tylko tegosamego imienia Janów-Jerzych od naszego oddziela Augusta. Co zaś mówi nam ten pochód książęcy?

Wszyscy oni — a obok nich ich małżonki: księżniczki heskie, duńskie, anhalckie, brandenburskie, wirtemberskie i bajreuckie — to kość z kości i krew ze krwi reformacyjnej. Wszyscy oni — ci Wettyni — to członkowie mistyczni i polityczni, a z czasem i „dyrektorowie" korpusu ewangielickiego Rzeszy, to twórcy czy poplecznicy wszelakich „unij", mających na celu zapewnienie przewagi protestantyzmowi, to członkowie zakonów rycerskich napoły tajnych, kollegjów mistycznych, zwalczających namiętnie, aż po kres ostateczny, hydrę papizmu. Wiąże się z nimi — w umysłach fanatyków protestanckich — nadzieja zgnębienia Rzymu, odwojowania dla Lutra czy Kalwina katolickich jeszcze Niemiec. August czy Chrystjan jawi się tym zelantom, tym exaltadom, w płaszczu już rzymskiego Cezara.

2. Nie należy zapominać, że tak, a nie inaczej, urobiło się środowisko, w którem urodził się i dojrzewał przyszły król polski. Tradycyj łacińskich, czysto łacińskich, zaznała była „Florencja nad Łabą" do jego czasów stosunkowo mało: nie zdążyła zaszczepić ich w lutrzejącej Saksonji Barbara Jagiellonka, córka króla Kazimierza i Rakuszanki, żona Jorka Myszyńskiego (Georg von Meissen). Że jednak przenikały tu wpływy włoskie, dowód w osobie Padovana, twórcy Sukiennic, który pracuje w połowie wieku XVI-go także koło drezdeńskiego zamku.

Są bowiem owi Auguści i Chrystjani książętami z ducha poniekąd renesansowego. Więc taki August, współczesny naszemu Zygmuntowi-Augustowi i Batoremu, twórca *„Grünes Gewölbe"*, bogaty a zabobonny, wraz z żoną swoją, Anną duńską, para się alchemją, pilnie patrzy w gwiazdy, radzi się kabalistów i z misternie kombinowanych figur — na wzór arabski — układa sobie horoskopy. Zobaczymy, że wszystkie te skłonności, właściwe epoce „Odrodzenia", przejdą z czasem na jego imiennika i spadkobiercę.

A taki znów Chrystjan II, prastryj „Mocnego"— toż to także alchemik zawołany. W zamku drezdeńskim więzi on tajemniczego Szkota, Aleksandra Setona, chcąc mu wydrzeć sekret robienia złota, a przyciąga tam również słynniejszego jego kolegę Sędziwoja, głośnego w świecie okultystów „Sandivogiusa".

Są dalej te dwory Chrystjanów i Janów-Jerzych nadewszystko tęgą szkołą pijacką. Kto badał trochę obyczaje porenesansowych książątek niemieckich: drezdeńskie czy weimarskie, anhalckie czy późnych Piastów śląskich, ten wie, że polityka gęsto tam wszędzie bywała zakrapiana, że poważnym zjazdom towarzyszył z reguły rytuał pijacki. Tak, te „Palmenordeny", „Blumenordeny", „Elbschwanenordeny" optymatów niemieckich z sympozjonów renesansowych rade czyniły orgję karczemną.

3. To była jednak w środowisku, które wychowało przyszłego króla, jedna tylko strona medalu. Saskie „Marsy", kondotjerowie i lowelasi na tronach, robili swoje, swoje robiły także pobożne panie, skupieni pietyści, pastorzy. *Frauen* — czy — *Kreuzkirche* w Dreźnie świadczą po dziś dzień monumentalnie o polotach dusz protestanckich, najbardziej natchnionym poetą tychże wzlotów stanie się Bach, który w roku 1717 koncertować będzie przed Augustem Mocnym, który uczci kantatą pamięć nabożnej jego małżonki.

Albowiem, jak u nas w Polsce, jak bodaj wszędzie, kobieta, ten, by użyć wyrażeń myśliciela obcego — „pierwiastek, ściślej, niż mężczyzna, związany z duszą świata, z prasiłami jego elementarnemi czy rodzajnemi" — staje się tam wtedy pośredniczką, przewodnikiem czy medjum pomiędzy duchowością protestancką a wyższemi tej duchowości aspiracjami. Dwie kobiety na tronie: matka Augusta, znów Anna duńska, nie oddana wszakże, jak tamta, jej poprzedniczka, sztukom tajnej wiedzy,

[1]) 1 lutego 1733.

ale uduchowiona przyjaciółka i poplecznicżka pastorów Spenera i Petersena oraz — żona Augusta, nieszczęsna Krystyna-Eberhardyna, płacząca po utracie odszczepieńczego syna „Rachela“ protestantyzmu, stają się podporami reakcji luterańskiej przeciwko płynącym, tym razem głównie z Polski, „nowinkom“. Znamy takie kółka pań pobożnych o arystokratycznych nazwiskach saskich Reussów, Gersdorfów i Friesenów, otaczające egzaltowanych pastorów czy wizjonerki. Takie to i tacy leją łzy na wieść o elekcji polskiej Augusta, nucąc rzewnie: „*Also bleib bei uns Herr Jesu Christ, weil es nun Abend worden ist*“. Z pieśnią protestancką na ustach kona też przedostatnia królowa polska.

4. Na skrzyżowaniu tak odmiennych od siebie prądów upływa wiek młodociany Augusta Mocnego. Skutek okazał, który wziął w nim prąd górę: pietystyczny czy świecki, jakim kobietom — przewodniczkom w złem czy w dobrem — ulegał on już za młodu. Zapytać by się raczej wypadało, czy w kształtującej się duszy książęcia nie ostał się jaki pierwiastek szlachetniejszy, zasiany tam przez matkę, czy nie uległ August podniecie jakowej dodatniejszej, płynącej doń ze środowiska czy momentu dziejowego.

Wystawmy sobie najpierw plastycznie tego monarchę, trzech używając do tego celu portretów. Mamy więc najpierw biust młodzieńczy dłuta Wilhelma Coustou, rzeźbiony zapewne podczas paryskiej Augusta „tury kawalerskiej“ — niezbyt to miłe pacholę o wystającej wardze zmysłowej, o nosie wklęsłym, skrytykowanym przez jedną z rodaczek jego w Wersalu. Niedawno opublikowaliśmy, w ślad za odkrywcami niemieckimi, pyszną maskę „koronacyjną“ Augusta z roku 1704 (August jest wtedy w pełni wieku męskiego), o której główny biograf jego, profesor Haake, wyraził się, że „głowa tego księcia nosi na sobie znamiona odstraszającej zgoła brutalności“. Portrety znów sędziwego Augusta: czy to Silvestre'a, niegdyś w Rydzynie, dzisiaj na Wawelu, czy inny — wyrazisty, choć nie z natury — Bacciarellego w zamku warszawskim, mają wejrzenie poprostu lisie: skazy Dorjana Grey'a uwidoczniają się na nich najdokładniej.

5. I takiego człowieka przeznaczył nam los nieżyczliwy na następcę Sobieskiego a króla rycerskiego narodu. Nie dziw, że nowy król grać zapragnął na rycerskich poddanego sobie narodu strunach. W pierwsze też karty rządów Augustowych w Polsce wplata się epizod pod każdym względem charakterystyczny, epizod turecki, ostatni w dziejach niepodległej Rzeczypospolitej.

Turek — z olbrzymiego realnego niebezpieczeństwa, którem był pod Warną i Mohaczem, pod Lepantem, Cecorą i Wiedniem, staje się zwolna, stopniowo, ale przez cały wiek XVIII-ty, po kolejnych z naszej strony uderzeniach Odsieczy, Parkanów i Podhajec czy cudzych — Belgradów i Azowów, rekwizytem teatralnym niemal, sztafażem rokoka, „*tête de Turc*“ przy turniejach w „*Zwingerach*“ czy ogrodach Krasińskich, w którą zawodnicy miotają oszczepami. Będzie się portretował jeszcze w Rydzynie Sułkowski, powracający z wyprawy austrjackiej, z nogą na bisurmaninie, ta zaś noga stanie się w drugiej połowie stulecia symbolem niejako, skoro król nasz ostatni analogicznem wyobrażeniem na pomniku łazienkowskim usiłować będzie podniecić naród do nowych przewag wojennych.

Syn „saskiego Marsa“, potomek szeregu bitnych elektorów, rycerzem był niewątpliwie. Ale — rycerzem z epoki, kiedy ideały, drogie jeszcze sercu Don Kiszota, wypłowiały już i zblakły były do reszty, równolegle do zdemonetyzowania się — pod naporem destruktywnych doktryn filozoficznych — chrześcijaństwa, na którem gruntowało się dawne rycerstwo. „Mocny“, brutalny wielbiciel siły dla siły, czciciel prostej tężyzny fizycznej, służby swoje zaczął wszakże — rzec można — jeszcze pod znakiem Sobieskiego: ojciec jego, Jan-Jerzy III, był pod Wiedniem, on sam o śmierci sławnego swego poprzednika dowiedział się bodajże w polu przeciwko Turkom. Stare wreszcie przepowiednie i zapowiedzi protestanckie — mające częściowo obieg i w orbicie własnej jego rodziny — przepowiednie żydowskich i judaizujących wizjonerów mesjanistycznych, rojących sobie zapewne o odwojowaniu na Turkach Syjonu: saska z wieku XVI-go, wirtemberska z roku 1604 czy frankfurcka z roku 1615 — wszystkie zgodnym kierują się frontem przeciwko Papieżowi, którego ostatniemi lżą słowami, ale i przeciwko „zatraconemu synowi jego Mahometowi“. Wiemy pozytywnie, że coś z tych szumnych pobudek protestanckich zapadło także w duszę ambitnego a zabobonnego Augusta.

6. Mamy więc tak — *tant bien que mal* — naszkicowaną sylwetkę młodego, dwudziestosiedmioletniego króla, w chwili gdy osiada tron Jagiełłowy.

Pełen żywotnych sił, ale wyposażony też długą tradycją absolutystów—pijaków i rozpustników w brutalną bezwzględność względem bliższego i dalszego otoczenia — to rasa; wyprany ze skrupułów i nieprzystępny szlachetniejszym impulsom matki i żony, nieczuły na głębsze podniety religji, której się zaparł, religji, przechodzącej zresztą wówczas jeden ze swoich kryzysów chronicznych — to środowisko; reagujący za to żywo na wszelkie bodźce, trafiające do rozpętanych jego instynktów, skądkolwiek by te bodźce wychodziły: od przyjaciół, od kobiet, od szarlatanów, ulegał August gasnącym mirażom otoczenia, fatamorganie z gruntu już przetwarzającej się epoki—to moment dziejowy. Wstąpił—niegodny — na chwiejący się tron Sobieskiego krokiem pewnym, widząc w sobie zrazu prawego jego następcę — Turkobójcę, a nie zdawał sobie sprawy, że to już nawet nie odblask glorji wiedeńskiej stroi mu czoło aureolą, że te kostjumy tureckie, które nawdziewał w karnawale drezdeńskim, że ta karawana egzotyczna, która, jak opisują djarjusze, towarzyszyła mu w pochodzie na Wawel — to był nierealny jeno sztafaż rokokowy, co wnet miał się rozpierzchnąć pod zimnym podmuchem zawieruchy północnej.

7. Ostatnie lata przyniosły nam stosunkowo bogatą literaturę o Auguście Mocnym. Czy było w tej profuzji, tej efflorescencji, coś zadraśniętej tak głęboko przez rezultat wojny dumy narodowej Niemiec, która po pociechę chroniła się do wieków odleglejszych, a równie pełnych blasku, jak świeżo właśnie zakończone czterdziestolecie wilhelmińskie? Nie wiemy. August w żadnym razie nie był odtrutką na Wilhelma: obaj — ten wczesny Wettyn i ten późny Hohenzollern — jedną zaiste mieli wspólną wadę, która zjednoczonym Niemcom większą napewno wyrządziła szkodę, niż niegdyś Saksonji; obaj mieli tę *Prunksucht*, z której u Wilhelma tak natrząsa się Ludwig, tę żądzę zbytku,

czy raczej żądzę wystawności — u Augusta trafiają się rysy całkiem pokrewne do manjactw Wilhelma. Historykom saskim, którzy właśnie okazują słabość wybitną na punkcie najfatalniejszego z naszych królów, mogło przy względnej jego rehabilitacji chodzić wszakże o co innego: z szarej, mrocznej, dusznej niemieckiej rzeczywistości powojennej chronić się oni mogli, idąc śladami Augusta, na dwór pełen, bądź co bądź, światła i wdzięku, jak świetlane i wdzięczne jest stworzone przez niego Drezno, dziś jeszcze w piękny dzień słonecznej wiosny, lata czy jesieni.

8. Korneljusz Gurlitt, najznakomitszy bodaj z saskich historyków sztuk, który, o ile mi wiadomo, odwiedzał był także swojego czasu Warszawę okupacyjną, szukając tu, śladem zwycięskiej swojej armji, przedstuletnich pamiątek, Korneljusz Gurlitt uznał, że komu jak komu, ale jemu, jako historykowi sztuki, wolno podziwiać monarchę, chociażby skąd-inąd uznany on został za potwora, monarchę, który tyle na jednem miejscu nagromadził skarbów i stworzył, bądź co bądź, z niczego, ze szarej, mrocznej, kiszącej się w swojem germano-protestantyźmie stolicy nadłabskiej, sen godzien iście sułtana z wschodniej bajki.

Dwa tomy Gurlitta — to najpełniejsza, jak dotąd, synteza Augustowego dworu. Mienią się w barwach Wettynów te wspominki starego Drezna, pisane ręką stronną może nieco — jak Gurlittowi zarzucają historycy pruscy. Gurlitt usiłuje wykazać wszystko, co „Mocny“ uczynił dla Saksonji, pragnie uwydatnić, iż Saksonja świadomie mu za to była wdzięczna. Jest w tej koncepcji księcia, stwarzającego dwór swój przemocą, z krzywdą i szkodą nieraz poddanych swoich saskich, a już napewno polskich, coś jakby transpozycja w wieki dawne hasła dzisiejszego amerykańskiej „*prosperity*“, która, aby handel szedł, byle pieniądz się wałkował, gotowa poświęcić głębsze dobra moralne dla obrotu i ruchu materjalnego. Ale teza Gurlitta, choć zaraz spotkała się z odprawą drugiego biografa Augustowego, Haakego, jest ciekawa i zasługuje na uwagę.

9. W literaturze historycznej polskiej, sprawy saskie — mam tu na myśli przedewszystkiem historję kultury — nie zostały posunięte tak daleko. Najświeższą jest monografja Truchima, historyka poznańskiego, pożyteczna przeróbka Gurlitta: to może wyrażenie za śmiałe, gdyż autor przyciąga cały szereg źródeł Gurlittowi nieznanych; użyłem jednak wyrażenia „przeróbka“, gdyż, zdaniem mojem, Gurlitt niewątpliwie bogactwem zgromadzonego materjału zachęcił i podniecił polskiego badacza. Przed tą pracą Truchima — postęp znaczyła w badaniach krótka monografja o Auguście pióra mówiącego te słowa, dalej parę charakterystyk Konopczyńskiego, częściowo rozsianych w fundamentalnej pracy jego o czasach saskich; poza tem sięgnąć nam wypadnie do całego szeregu monografij wspomnianego już Pawła Haakego, niemniej badacz, któryby się pokusił o stworzenie u nas monografji typu Gurlitta, musiałby raz jeszcze przewertować stare źródła i opracowania polskie: tych Zawiszów, „Otwinowskich“, Jarochowskich i t d.

10. Jakżeż teraz wypadnie synteza dworu Augustowego z perspektywy polskiej? Oczywiście, że ujemnie — o zachwytach Gurlittowych dla mecenatu „Mocnego“ mowy najmniejszej być tu nie może. Gdzież są w Warszawie pyszne te „*Zwingery*“, gdzie skarby „*Grünes Gewölbe*“, gdzie pomniki? Rzec można, że z kamiennych tych i spiżowych snów o potędze polskiej Augusta wszystko pozostało na papierze, a raczej — powiedziałby specjalista — Francuz — *à l'état de maquette*, w stanie rzutu czy rysu. Gurlitt uprzystępnił nam majestatyczny projekt przebudowy zamku warszawskiego według architekta Pöppelmanna, którego fantastyczne tarasy tłuką się bodaj jeszcze po malarskiej fantazji Canaletta; w „*Grünes Gewölbe*“ oglądaliśmy niedawno wspaniały pomnik — jakby *pendant* do Falconnetowego Piotra Wielkiego czy Augusta z „*Neustadt*“ drezdeńskiej, z sążnistym napisem polskim i płaskorzeźbą, przedstawiającą koronację na Wawelu, pomnik zapewne przeznaczony dla Warszawy, ale darmo — dzisiejszy „Pałac Saski“ każe nam, dzięki przewiewnej swojej kolumnadzie, o Skworcowie raczej myśleć, niż o Wettynie, pałac Brühlowski do późniejszej należy już epoki, pałac Błękitny saskiej wyzbył się fizjognomji...

11. Powiada Flemming, który Augusta ze współczesnych znał chyba najlepiej, w słynnej już dzisiaj charakterystyce swojej, że „żądza uciech stawała bardzo często wpoprzek jego ambicji, lecz żądza sławy nigdy nie przeszkodziła uciechom“. A żądza ta sławy sama w sobie była nieograniczona, sięgała wyżyn zawrotnych, dali nieuchwytnych. Za złe mu mieli to już współcześni. Słusznie też mógł się obawiać ochmistrz nowej królowej polskiej, na wieść o elekcji Augusta, że „cień tej korony może pożreć elektorat podobnie jak siedem chudych a brzydkich krów pożarło młode a tłuste Faraonowe“. Tak się nie stało, obawy Bosego się nie sprawdziły, bo August snać lepiej jeszcze doić umiał Polskę, niż Saksonję, lepiej wyciskać z niej złoto — i życiodajne soki: „uczy figura“, co w Polsce, a co w Saksonji po nim pozostało. Ale ujemniejszą bodaj jeszcze stroną tej jego żądzy sławy było to, że nie była skoordynowana, że od korony polskiej, której z Flemmingiem szukał w gwiazdach, z Grebnerem i Petersenem w traktatach okultystycznych, a z przodkiem swoim Augustem w horoskopach geomantycznych *Punktierbuch*'ów, biegła wyobraźnia jego do tronu cesarskiego w Wiedniu czy bodaj w Konstantynopolu, do Neapolu i Sycylji, do *stathouderat*'u holenderskiego. Miał dalej August i tę wadę, że nie był miłośnikiem pracy, że przeto jeden pomysł brał, a rzucał drugi, że żądzy uciech — jak słusznie podnosi Flemming — dawał zawsze krzyżować zamysły swoje.

Na to przekleństwo jego natury dworskiej mamy — oprócz świadectwa Flemminga — cały dalszy szereg świadectw. Kroi się w roku 1697 wielka wyprawa turecka, o której samże August pisze do jednego z dygnitarzy litewskich, by „nie przeszkadzał wyprawie, od której zależy dobro publiczne i sława nasza“, a tu zaraz pierwszy etap lwowski staje się dlań Kapuą i cała wyprawa, pozbawiona oka pańskiego, a dzięki pięknym oczom Omfali jego chwilowej, Urszuli Lubomirskiej, rozchodzi się na niczem. Gorzej jest jeszcze czasu nieszczęsnej wojny Północnej. Gdy mianowicie Karol XII przepędził go z reszty Polski, August chroni się do Torunia, a „miasto pruskie“, — pisze historyk — „przepełnione wojskiem, magnatami i dyplo-

matami zagranicznymi, brzmi nieprzerwanie odgłosem zabaw i hulanek", pośród których Lubomirska po dawnemu atutem jest królewskim. 14-go znowu lutego 1703 r. przenosi się August z Torunia do pewniejszego bodajże Malborga. W trzy dni po przybyciu do tej siedziby krzyżackiej myśli już król o zbudowaniu „*theatrum* dla komedji". Zarówno on, jak jego kochanka, wysilają zmysł swój towarzyski, pośród najniedogodniejszych warunków, ażeby pięknie obchodzić ostatki. Analogiczny objaw widzimy w lecie tego samego roku. *Villegiatura* królewska to wtedy, najpierw Otwock, potem Ujazdów. I tu i tam towarzyszy znowu królowi Lubomirska. Istny obraz „Boccacciowego Dekamerona pośród spustoszeń florenckiej dżumy" — zauważa o tych wczasach Augustowych stary Jarochowski. Kasy nadworne stoją pustkami, zabobonny monarcha puka już o radę do alchemików, bankier królewski Berend Lehmann rozbija się na wszystkie strony za pieniędzmi, a przecie król zdobywa się dla uczczenia rozwodu swojej kochanki, na festyn i bukiet z drogiemi kamieniami wartości 60.000 talarów. Ale i klęskowy rok 1705 wart jest w życiu Augustowem fatalnego 1704-go. Zmienia się w nim tylko scenerja: Cosela występuje zamiast Lubomirskiej.

A jak na tem wszystkiem cierpią sprawy państwowe, poucza nas inny powiernik królewski, Manteuffel. Sam król pyta się go raz mianowicie, dlaczego sprawy państwowe w Saksonji z reguły mu się wymykają z pola patrzenia, w Warszawie zaś rzecz się z tem ma nieco lepiej. Manteuffel na ten raz rżnie królowi wyjątkowo prawdę w oczy: „Bo nie mamy tutaj, Wasza Królewska Mości" — powiada—„ani domków tureckich, ani domków holenderskich, ani Moritzburgów, ani ogródków, ani opery, ani komedji, ani tancereczek". Ale kiedyindziej, i to przy raporcie, musi tenże Manteuffel, chcąc zainteresować króla, wkradać się w jego posłuch drogą okólną, prawić mu najpierw o kometach, o porcelanie, czy o Jezuitach i t. p. interesujących go tematach, aby przemycić to, co najważniejsze.

12. A jakiż jest nakoniec charakter zasadniczy tych zabaw, co tak — zdaniem kompetentnem — hamowały bieg machiny państwowej?

Krótko mówiąc — pijacki. Czytając ich opisy, wspomina się zaiste starą pieśń kuchenno-łacińską:

Bibit iste, bibit illa,
Bibit herus cum ancilla...

W tym względzie bowiem okazuje się August potomkiem nieodrodnym „*Saufboldów*" swojej rodziny, Chrystjanów i Janów Jerzych, co w Dreznach, Köthenach i Weimarach ze swoistych puharów ciągnęli do upadłego rytualne hausty.

To też jakżeż ówczesna kronika warszawsko-drezdeńska bogata jest podówczas w tego rodzaju notatki kronikarskie, jak następująca ich serja: 23 września 1720 r. zapisuje sobie w swym dzienniczku Flemming: „Urżnąłem się z Poniatowskim" (ojcem króla)" 29 października tegoż roku notuje: „Król pije dalej (wyraźnie nie pierwszy to już dzień) z Tarłą oraz Mniszchem"; 10 lipca 1722: „Słyszałem, że król urządził sobie orgję pijacką z biskupami"; 6 października t. r.: „Nie zastałem w domu hetmana Sieniawskiego, gdyż upił się jak dziura"; 13 października t. r.: „I biskup warmiński (Teodor Potocki) podpił sobie sielnie"; 14 października t. r.: „Nie można ruszyć z miejsca sprawy komendy, gdyż obaj hetmani litewscy (Pociej oraz Denhof) spili się jak bele"; 22 października t. r.: „Urżnęła się Pociejowa (hetmanowa)"; 15 grudnia t. r.: „Poniatowski spił się na umór".

Ładna to lista — pijacką także spisywana dłonią. A ileż ohydniejszych jeszcze epizodów, jak ta orgja pod Droznem u pijanego Flemminga, gdzie spija się król, spija się kochanka jego Denhofowa, zataczają się bladzi i nieprzytomni panowie polscy, a wreszcie król i Denhofowa, wracając do Drezna, spadają z koni. Albo—kanclerz Lipski i podskarbi Poniatowski—o popuszczacze pasa!—ważą się przed jedną z uczt w roku 1727 i okazuje się, że każdemu z nich przybyło po uczcie do pięciu funtów!

13. Wszystkie te orgje, trafnie usyntetyzowane w powieści Kraszewskiego p. t. „Skrypt Flemminga", znajdują swoją koronę, swoje uwieńczenie w t. zw. „Bractwie wrogów wstrzemięźliwości". Mój przyjaciel berliński, pan profesor Haake, poświęcił tej „*societé des antisobres*" osobną broszurę, ale, nie rozporządzając wystarczającemi materjałami, nie uwydatnił, zdaniem mojem, jak się należy, wszystkich zasadniczych momentów wielkiego tego „humbugu".

Jest w Dreźnie piwnica, którą miałem przyjemność zwiedzać w lecie roku zaprzeszłego. W niej, w latach 1728 — aż do samej bodajże śmierci, schodził się August Mocny z t. zw. swoją „*Confidenztafel*", z rzeszą całą pijackich swoich kompanów i kompanek. On, który przepić się starał cara Piotra, on, co z pierwszym królem pruskim pijał w Jańsborku, gościł teraz w tej piwnicy, knując z nimi spiski na zgubę Polski, pruskiego „królakaprala" Fryderyka-Wilhelma I i syna jego, dojrzewającego Fryca.

W piwnicy tej, w pobliżu stojących w stałem pogotowiu beczek najprzedniejszych Renów, Mozeli i Węgrzynów, koncentrował się i uplastyczniał styl cały epoki naszej saskiej. Była tam fontanna Muz bachicznych do obmywania głowy pragnących wytrzeźwieć i były „*Ruheplätzchen*" (miejsca spoczynku) dla beznadziejnie skutych. Hajducy z pochodniami rozświetlali ową orgję, ale—co bolesne, to że świeciły w niej nazwiskami najpierwsze też rody i persony Polski współczesnej: Lubomirscy i Sapiehowie, Bielińscy i Pocieje; obok Lipskiego, przyszłego kardynała — zepewne Jan-Klemens Branicki, przyszły hetman i ksiądz opat Rozdrażewski i najwyżsi dygnitarze dworscy i dyplomaci... Co także nad miarę wstrętne, to że panowała w tem gronie moda koszarowa na wzór pruski, że pleniły się karczemne dowcipy, że nawet ci stali kompani pijaccy mieli *ad hoc* sfabrykowane pseudonimy, że gości obowiązywał wysoce ordynarny statut.

A już o tem nie wspomnę tutaj wcale, bo brak mi miejsca, że była ta piwnica przy Schiessgasse kuźnią zguby na wolność i całość dzierżaw nieszczęsnej Rzeczypospolitej, że jej goście stanowili związek tajny, pierwszy w naszych dziejach, obliczony, pod przewodem króla, na zatratę kraju. Nie wiedzieliśmy dotąd, do czego prowadziła i doprowadzić mogła pijatyka saska. Dziś, patrząc na potworne puhary Augustowe w „*Grünes Gewölbe*", uświadamiamy sobie, że ten alchemik w koronie sączył do nich prawdziwą truciznę.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

NA WIDOWNI

Motywy społeczne w sztuce. — „Most“ J. Szaniawskiego. — Granica prawdy w życiu jednostki i społeczeństwa. — Dramaty instynktu i idei. — Teatr i publiczność. — Zadanie kultury.

W TYGODNIU ubiegłym zdarzył mi się jeden moment jaśniejszy—premjera nowej sztuki Jerzego Szaniawskiego „Most“ w teatrze Narodowym. Uważam za punkt jaśniejszy zdarzenie, które odsłoni, że dzieje się coś w duszy społeczeństwa dodatniego. Twórczość literacka spełnia rolę wziernika w tendencje umysłowe epoki i sama tych tendencyj jest wyrazem. Oczywiście twórczość wybitnych poetów, do których zaliczam Szaniawskiego.

Pod tym kątem widzenia Szaniawski w Warszawie tyle znaczy, co Rostworowski w Krakowie. A kiedy widzę ich podobieństwo, to odczuwam, że duchowość społeczeństwa ma już swoje życie zjednoczone i wspólne tętno. Co jest bowiem charakterystycznego u obu tych dramaturgów? To, że wbrew nałogom literackim u p r y w a t n i a n i a człowieka, dają w nim widzieć kawałek społeczeństwa. Ich człowiek jest kompleksem psychicznym s p o ł e c z n y m.

Ci, co bywają w teatrze, zastanawiali się pewno nad tem, ile w sztuce nowoczesnej jest sztuczności. Wszystko inne się udoskonaliło w swoim realizmie, nikt nie mówi „na stronie“, jak było dawniej, ale główny moment dzieła poetyckiego,— człowiek — stał się czemś nierealnem, czemś zgoła konwencjonalnem. Ileż dobroduszności wymaga się od widza, aby się dał porwać ułudzie rzeczywistości, patrząc na gromadę ludzi, którzy przez kilka aktów w różnych porach dnia nic innego nie robią, jeno się kochają. Jakieś specjalne aparaty miłosne, pod kloszem konwencji, pozbawionym powietrza społecznego, bez perspektywy psychologicznej, która jest w istocie perspektywą moralną i społeczną.

Kiedy człowiek zaczyna budzić zainteresowanie swoją psychiką społeczną, to w tem jest pewna oznaka, że życie społeczeństwa dojrzewa i dochodzi do głosu. Wtedy badacze duszy ludzkiej zaczynają się dziwować iście dramatycznym związkom tej duszy z dziejami i wtedy widzą dramatyczność życia. Wtedy też literatura nabiera powagi, niekoniecznie patosu. Literatura Erosu przeznaczona jest dla tych, którzy uciekają od Ethosu. Tak bywa w niewoli politycznej, tak w sferach używających życia bez troski o jego siły twórcze.

Bohater Szaniawskiego, architekt Tomasz w „Moście“, wyznaje, mimochodem pozornie (ale to jest klucz do serca autora), że od pewnego czasu spostrzegł w sobie potrzebę społecznikowania. Zauważyć się daje w Szaniawskim, że coraz pilniej wgląda pod tym kątem w dusze ludzkie. Interesuje go całe rozpięcie człowieka między przyrodą a jego popędami prometejskiemi. Widzi, jak jest przypięty do ziemi i jak dopina jakichś celów górnych, nie mających związku z instynktem samozachowawczym jednostki. W dramacie ostatnim ukazuje nadto, jak ta linja pionowa wzlotów człowieka przecina się z linją poziomą trwania biologicznego, wrośniętego w żywioł środowiska i w nałóg konserwatywny.

Inżynier Tomasz, który przybył do swego chorego ojca, starego przewoźnika, to jakby palma egzotyczna z obcego klimatu. Chłopcem jeszcze będąc, nie mógł znieść klimatu w rodzinnem środowisku i uciekł od ojca na wielki świat. Objął widoki wysokiej cywilizacji i coś go ciągnie do szczytnych zadań w tym świecie, przez człowieka stworzonym. Ale wie, że nie stałby ten świat w równowadze, gdyby w podstawach nie było człowieka prostego, trzymającego się pazurami ziemi.

I syn i ojciec jest nam sympatyczny. Dramat stąd właśnie wynika, że konfliktu między ojcem i synem (i jego towarzyszką narzeczoną) i winy ojca nie można rozsądzić potępieniem.

Sprzeczności bytu są dramatem objektywnym, a gdyby dały się rozwiązywać, wszystko byłoby komedją. Społeczeństwo tem jest dla jednostki okrutne, że z życia, w którem jest wiele irracjonalności, musi czynić całość logiczną, dopina zaś swego celu przy pomocy państwa tam, gdzie samo sobie nie radzi. Szaniawski przeprowadził swych ludzi przez wszystkie instancje życia: osobistą, rodzinną, społeczną i państwową. Dokonał tej demonstracji po mistrzowsku mojem zdaniem.

Pokazał nam naprzód, jak wyrasta zaczątek życia społecznego w warunkach pierwotnych. Jest rzeka — po drugiej stronie miasteczko. Odludzie na tym brzegu wytwarza instytucję przewozową. Któryś z ludu dorobił się na tem. Domostwo jego z chaty przeradza się w rodzaj gospody z pięterkiem na pokoje gościnne. Młoda architektka rozpoznaje w dziwnych jego kształtach celowość społeczną, a więc styl. Od chwili zbudowania mostu, to znaczy od chwili podniesienia się poziomu potrzeb społecznych, dom zaczął zapadać w ruinę, a człowiek, który mu styl nadał, zanim runie sam, przebywa katastrofę moralną. Nie mogąc się pogodzić z nowatorstwem, protestuje w duszy: nie było mostu i ludzie sobie radzili... Dla niego stało się coś nielogicznego, co go krzywdzi. Do decyzji gwałtu doprowadza go, łącząc się z tamtą, krzywda czysto osobista (ten, co most zbudował, zbałamucił mu żonę). To jest bodziec tylko, pochłonięty przez ogólniejszą sprawę katastrofy życiowej. Bez tego źle życzył mostowi, ale wszystko razem sprawiło, że zakradł się w nocy z siekierą czy piłką i podciął główny filar mostu w przewidywaniu kry po dużych deszczach.

Wszystko to się dzieje na scenie, bo choć rzeka za ścianą, to jednak dramaturg umiał te wszystkie współczynniki życia w przyrodzie zagrać równoważnikami psychicznemi na scenie. I to jest wielka siła jego talentu, niedoceniona w krytyce, siła dana autorowi przez to, że wkochał się w życie na tym drobnym terenie. Nazywam wkochaniem zdobycz poznawczą artysty. Bez miłości nie pozna, nie zrozumie i nie wyrozumie, choćby mu się zdawało, że rozwiązał splot logiką. Gdyby nie brał tego sercem, nie widzielibyśmy dramatu na scenie, nie bylibyśmy tak bardzo wzruszeni, że aż wdzięczni mu, że nam tę rzecz dał przeżyć.

Przeżywamy wszystko, nawet to, co było za sceną i co było tylko opowiedziane. Dramat bowiem starca przerzucony jest transmisją na akcję dwojga młodych ludzi, syna i narzeczonej i nie jest bynajmniej tylko wersją. Tak wiążą się pokolenia łańcuchem nieprzerwanego dramatu. Szaniawski wybrał moment łączenia się dwu ogniw tego łańcucha: koniec żywota ojca i początek losu

syna. Nie wiedzieliśmy, co było przedtem, ani też wiemy, co będzie z młodymi.

Jakże daleko od jakiegoś mostu nad jakąś Narwią do bajecznego wykwitu cywilizacji owego pałacu—może na księżycu—przybytku Ligi przyjaciół Człowieka (przez duże C). Śniło się w marzeniu artysty architekta, że ten pałac będzie jego dziełem. Wysyła na konkurs międzynarodowy swój projekt. Była ostatnia godzina terminu, wyznaczonego przez konkurs — trzeba wysłać pocztą z miasteczka ów projekt — most zerwany! Wszystko stracone! Wezbrana woda i kry właśnie suną. Artysta padł ofiarą przywiązania synowskiego. Przybył do ciężko chorego ojca i tu kończył dzieło. Ginie tu, gdzie stała jego kolebka. Stare życie, nie rozumiejąc go zgoła, obojętne na jego chimery, zalewa go, jakby ginął w nieubłaganej rzece. Stary przewoźnik, może ciągle w gorączce, głuchy pozornie, odczuł krzyk rozpaczy (dała mu wyraz narzeczona artysty) i postanawia przewieźć posyłkę łódką. Młodzi widzą śmierć, ale milkną; głos protestu przyłapuje im w duszy święty, społeczny egoizm wielkiej sprawy, dla której można poświęcić człowieka (przez małe c).

Przewoźnik płynie... I tu jest kulminacja dramatu. Patrzący przez okno ludzie odmalowują nam grozę tej śmiertelnej walki z lodem i prądem, a zarazem spowiadają się ze swego dramatu. Nie wiedzą jeszcze, że sprawcą upadku mostu jest ojciec. Artysta obciąża winą zbrodni siebie, że pozwolił ojcu się poświęcić, w duszy oskarża kobietę, że go do tego kroku wyzwała. Zrywają się nici miłości. W poczuciu winy artysta morduje siebie pogardą...

Ten i ów powie potem, gdy rzecz się wykryje: „Ależ ze strony ojca nie było to poświęcenie. Zniszczył most, więc powinien był za to odpokutować. Ba, gdyby nie to, gdyby czyn jego był dziełem jakiegoś tajemnego, ukrytego w sercu ludu poczucia potrzeby wyższej cywilizacji, a choćby tylko dziełem miłości dla syna, to byłby poemat prawdziwy!"

Krajcie sobie jak chcecie serce tego starca, a zawsze znajdziecie w niem jedno: — Ojciec. Dla syna to zrobił, nie kto inny tylko on. Nie uważał tego za bohaterstwo, może samby nie rozróżnił w sobie, czy to zrobił za pokutę, czy z miłości dla syna. W zdrowym organizmie człowieka prostego postępki nie mają często nazwy moralnej; robi się z instynktu. Chłop walczy bohatersko jako żołnierz; powiedzą, że broni tak swego zagona. Bije dziecko z miłości, kocha z egoizmu. Stary przewoźnik był w domu tyranem, a sługa go miłuje. Syn dwadzieścia lat stroni od ojca, a jednak więcej mu leży na sercu, niż ukochana kobieta. Ojciec — instytucja społeczna: wiele praw, *maximum* obowiązku i ofiary w potrzebie.

Zdziwił mnie niemało zarzut, uczyniony Szaniawskiemu przez jednego z krytyków, że apoteozuje „sabotażystę" postępu i pogrąża się w romantycznej pleśni. Był już czas poznać się na Szaniawskim, że jest to poeta czystej wody i tylko pokazuje, daleki od tendencyjności. Nie jest agitatorem. Jego widzenia poetyckie są demonstracjami jego widzeń filozoficzno-społecznych. Zajrzawszy w głębie życia zbiorowego organizowanego, doznaje wzruszeń takich, jak na widok tajemnic przyrody. Ukazuje nam w swym tryptyku dramatycznym, ile razy pewien fakt życiowy przełamuje się w psychice społeczeństwa, ulegając konieczności socjologicznym. W ostatnim akcie widzimy, jak fala serca ludzkiego znajduje kres swej namiętności, rozbijając się o ramy prawa. Pomimo ekspjacji wewnętrznej, pomimo rozgrzeszenia ze strony środowiska, uderza się o coś objektywnego, co sam ustanowił jako ramę dla jednostki w imię dobra zbiorowego. Ze spokojem czeka na los, a wyrazem tego spokoju są kwiaty, zjawiające się na stole ponurego domu. Za chwilę policja ujmie pod ramię bohatera, którego przed chwilą podziwiało miasteczko, jak borykał się ze śmiercią, zbawcę syna, któremu poświęceniem swojem otworzył drogę do szczytów społecznych. On, człowiek prosty, nie mający nic prócz namiętności życia.

Nie wydaje mi się właściwe wypominanie Szaniawskiemu Ibsena. Oczywiście, przed Szaniawskim był Ibsen, a takie poprzednictwo w sztuce obowiązuje. Szaniawski jednak jest większym od poprzednika poetą, jego człowiek jest kompletniejszy i prawdziwszy. Szaniawski może ma gdzieś poprzedników, ale to pewna, że w Polsce będzie miał następców. A co sam da jeszcze z siebie — wiele można się spodziewać.

Rokuję tę przyszłość na podstawie oddźwięku, jaki pisarz ten wywołuje w wyborowej publiczności polskiej. Jest tłumaczem nieuświadomionego jeszcze dostatecznie instynktu, który czuje, że Polska przetwarza się wewnętrznie i wymaga dla swego życia, jako zbiorowości organizowanej, wielkiego wkładu ducha ze strony jednostek. Życie domaga się, aby je rozumieć i odwrócić się do niego frontem od bałamuctwa sztuki próżniaczej.

— — — — — — — — — — — —

Nigdzie nie można lepiej spostrzec obłędu potocznej opinji teatralnej naszych czasów, jak na przedstawieniach Szaniawskiego. Publiczność przyjmuje go z entuzjazmem. Staje się rzeczą coraz widoczniejszą rozłam między publicznością i krytyką polską a publicznością i krytyką światа żydowskiego. Ową opinję potoczną o teatrze wytwarza ten drugi światek, który niszczy kulturę polską w Warszawie. Odbywa się w naszych oczach walka dwóch sprzecznych tendencyj: zwyżkowej i zniżkowej. Widać bezustanne usiłowania inflacyjne, aby wielka sztuka ustąpiła miejsca pierwiastkowi błazeństw rewjowych, a życie idej żeby ustąpiło z drogi jakiemuś postępowemu „życiu świadomemu" płci.

Polityka instytucyj teatralnych ulega temu drugiemu prądowi, nie dowierzając polskiej publiczności, czy potrafi wielką sztukę utrzymać na swych barkach. Potrzebna byłaby pomoc ze strony zarówno państwa, jak i samorządów miast, aby ratowały kulturę polską. Ale właśnie rozkład wszędzie się dostaje i zniewala te czynniki do zajmowania stanowiska neutralnego. Za zasługę poczytać należy teatrowi Narodowemu, że dla ratowania tradycji wystawia dzieła poważne. Nie powinien się tego wstydzić, owszem powinien to robić programowo, a źle na tem nie wyjdzie materjalnie. Miał dowód, wystawiając dramat Tołstoja w przeróbce Miłaszewskiego, „Don Carlosa" w przekładzie Iłłakowiczówny, a zwłaszcza „Wesele" Wyspiańskiego. „Weselu", wznowionemu po 25 latach od śmierci poety, towarzyszył w Warszawie poprostu wstrząs artystyczny i moralny.

Społeczeństwo polskie, pomimo wszystko, dojrzewa umysłowo i moralnie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

KANCLERZEM RZESZY ZOSTAŁ HITLER. Dosyć trudno przewidzieć możliwe konsekwencje tego faktu. Zajęci obserwowaniem „ruchu odwetowego” w Niemczech, myleni jednostronnemi wiadomościami PAT-a i innych agencyj telegraficznych, łatwo tracimy z oka sens całości przemian, dokonywających się w powojennych Niemczech. Wydaje się jednak, że pewne dotychczasowe ustalenia i nadal obowiązują. W polskiej opinji narodowej uchodziło za rzecz pewną, że idea wygrywania Niemiec „pacyfistycznych” przeciwko militarnym jest nieporozumieniem; — bo w istocie takiego rozdwojenia wewnątrz narodu niemieckiego niema. Jeżeli chodzi o cele główne polityki zagranicznej Niemiec, to pod tym względem w całym narodzie od początku różnicy zdań nie było. Najpierw odebranie Polsce ziem zachodnich, potem rozprawa z Francją. Wszystkie rządy niemieckie po wojnie dążyły do ziszczenia tego programu. To też, jeżeli z uzasadnioną podejrzliwością słuchało się pacyfistycznych deklaracyj Stresemanna, z niejakim spokojem przyjąć można wieść o objęciu władzy przez wodza młodo-niemieckiego ruchu narodowego. Uznając, że cele niemieckiej polityki zagranicznej pozostają te same, zapytać trzeba, czy i środki działania pozostaną te same. Pod tym względem, oczywiście, trudno coś powiedzieć napewno; ale trzeba pamiętać o jednem: że gusty poszczególnych polityków niemieckich niewiele wpływały na wybór taktyki. To nie predylekcja szczególna Stresemanna do pacyfizmu dyktowała mu jego oświadczenia, lecz świadomość, że narazie niema innej drogi postępowania. Jeżeli zatem w położeniu międzynarodowem ma być klucz sytuacji, to i ze strony rządu Hitlera wyłączone byłyby narazie niespodzianki w stosunkach z sąsiadami. Czy jednak tak górna roztropność powodować będzie stale nowym kanclerzem? Jakie jest przedewszystkiem jego rozumienie położenia międzynarodowego?

Otwarta też pozostaje kwestja, ile potrafi, i co chce zdziałać w Niemczech. Niemcy należą do narodów, potrzebujących symboliki „wodza”. Napewno wódz coś przedsięweźmie. Najpilniejszem zadaniem jest zdobycie dyktatury. Ale narazie sam musi się czuć mocno skrępowany w gabinecie, mającym w swoim składzie przedstawicieli ducha hierarchji i dyscypliny staropruskiej, oddanych dynastji. Nowy człowiek, tworzący nową hierarchję, z pewnością czuje się nieswojo w towarzystwie ludzi, tak mocno przywiązanych do tradycyjnej, mocnej, i mimo wszystko w oczach Niemca, a z pewnością i Austrjaka, wspaniałej, hierarchji dawnej. Póki Hitler współpracuje z Hindenburgiem i Papenem, którzy są dlań przedstawicielami czegoś autentycznego, i wobec których, mimo całą swą ambicję, najprawdopodobniej czuje w duszy pewną subordynację, trudno mu będzie rozwinąć działalność niezależną. W jaki sposób spróbuje się usamodzielnić, nikt jeszcze nie wie. Narazie przestrzega się w Niemczech konstytucji. W jakim stopniu machina państwowa pomoże Hitlerowi i jego sojusznikom: Papenowi i Hugenbergowi, zdobyć zwycięstwo wyborcze? Czy przez oszustwa i gwałty? Czy też więcej liczy się na to, że objęcie przez Hitlera urzędu kanclerskiego doda mu tyle *prestige*'u, iż pozyska dlań wyborców dotąd niezdecydowanych i umożliwi zdobycie prawdziwej większości w parlamencie? To wydaje się pewne, — i w tem Hitler i jego sojusznicy są zgodni,—że szybko dojdzie do ostatecznej „rozgrywki“ z lewicą i wogóle z demokratami. Siłą tych ostatnich jest „*Reichsbanner*“ i związki zawodowe. Dużo słyszało się o ich potędze. Lecz jak dalece poglądy takie są słuszne? W czasie ostatniego zamachu konstytucyjnego, zakończonego mianowaniem rządów komisarycznych dla Prus przez prez. Hindenburga, zdolność czynników „demokratycznych“ do przeciwdziałania i oporu okazała się nad wszelkie spodziewanie nikła. Możliwe, że jest to miarodajnym prognostykiem na przyszłość.

ZA DE VALERĄ I JEGO POLITYKĄ OŚWIADCZYŁA SIĘ prawdziwa większość narodu irlandzkiego. W nowym parlamencie stronnictwo *Fianna Fail* będzie miało przewagę nikłą, lecz stanowczą jednego głosu nad całą resztą. Wynik ten odzwierciadla stan przewagi stronnictwa w opinji kraju, ponieważ wybory przeprowadzone były według niezmiernie ścisłego systemu proporcjonalnego. Położenie zwycięskiej grupy w parlamencie będzie tem korzystniejsze, że na codzień może się spodziewać także poparcia drobnych grupek „robotniczych” i „włościańskich“. Hasło niepodległości Irlandji silniej trafiło do przekonania mas om od wszystkich innych zawołań. Zbyt bliska jest jeszcze pamięć jarzma angielskiego, żeby Irlandczycy na hasło takie mogli być głusi, nawet gdy dziś jest ono czczem zupełnie hasłem. Dojście „niepodległościowców“ irlandzkich do władzy nie oznacza żadnego nowego wstrząśnienia dla imperjum angielskiego. Prawdziwy kryzys w stosunkach międzyimperjalnych dokonał się przed rokiem, gdy upadł Cosgrave, a rządy po nim objął po raz pierwszy buntownik z 1916 r. — De Valera. Wtedy wyjaśniło się, że Irlandja może swoje stosunki wewnętrzne urządzać zupełnie podług własnej woli, zaś Anglja, mimo to, wstrzyma się od wszelkiej interwencji. To była chwila przełomowa, wystawiająca politykę angielską na próbę. Anglja okazała się konsekwentna w swem postanowieniu nie mieszania się do spraw irlandzkich. Ale hasło niepodległości, które dziś rozumiane jest przez Irlandczyków przedewszystkiem jako odzew do dumy i godności narodowej, zachowało dawny sentymentalny walor. Mile musiała zabrzmieć dla uszu irlandzkich deklaracja De Valery po wyborach, że pragnie on przywrócić narodowi irlandzkiemu jego dawną wielkość i świetność. Od niepamiętnych czasów Irlandczycy nie słyszeli słowa „wielkość“, jako czegoś w sensie realnego programu. Z gorącą sympatją przywitać musi ten program każdy, kto czuje się choć trochę Europejczykiem. Dla opinji polskiej dążenia te są naturalne i zrozumiałe. Prasa angielska w czasie wyborów zachowywała najściślejszą neutralność, nie wyrażano poparcia dla Cosgrave’a, aby nie zepuć jego szans wyborczych. I w istocie, umocnienie się De Valery na stanowisku szefa rządu Irlandji, choć wielce niemiłe dla Anglików, wita prasa angielska bez niepokoju. Są to wszystko skutki polityki, która zdecydowała się przed 12 laty pozostawić Irlandję samą sobie. „Wolne Państwo“ jest dziś wolne naprawdę, aczkolwiek jeszcze na-

leży do liczby dominjów. Charakterystyczne, że i nadal w programie De Valery nie słychać o postulacie ostatecznego zerwania więzów łączności z imperjum angielskiem. Zapewne, że usunięcie śladów formalnego związku byłoby w dzisiejszym stanie rzeczy równoznaczne z wycofaniem się rzeczywistem z brytyjskiej „rzeczypospolitej państw". A więc gdyby stronnictwo *Fianna Fail* ogłosiło ustanowienie republiki irlandzkiej, albo zniesienie urzędu gubernatora generalnego (którym jest zresztą niepodległościowiec irlandzki, mianowany przez króla na wniosek De Valery) — nie mogłoby już być mowy o zaliczaniu Irlandji nadal do liczby „dominjów". Lecz czyny takie nie oznaczałyby żadnych nowych strat dla Anglji. Jak powiedzieliśmy, dla imperjum brytyjskiego wynik ostatnich wyborów nie oznacza początku jakiehś nowych trudności.

IRLANDJA, CHOĆ NIEPODLEGŁA, NIE JEST JEDNAK ZJEDNOCZONA. Przedewszystkiem, Anglja okupuje parę portów irlandzkich, mających znaczenie strategiczne. Podobnież niekompletna jest Polska bez Gdańska, Hiszpanja bez Gibraltaru. Ale jeszcze trudniejsze zagadnienie stanowi dla Wolnego Państwa kwestja Ulsteru na północy. Anglja, ewakuując Irlandję, pozostawiła część hrabstw na północy pod swoją władzą. I nie zatrzymała bynajmniej Ulsteru przemocą. Ludność tej części wyspy, wynarodowiona w ciągu wieków, protestancka i gęsto przemieszana z napływowym żywiołem angielskim, za nic w świecie nie wyrzekłaby się związku państwowego z Wielką Brytanją. W swym fanatyzmie religijnym i politycznym jest zajadła, niepodobna do rdzennych Anglików. Z tem wszystkiem, ulsterczycy uważają się za Irlandczyków. Ale, w dzisiejszym stanie rzeczy, nie może być mowy o połączeniu Ulsteru z Wolnem Państwem, miljona ludzi z Północy z trzema miljonami z Południa. Polityka irlandzka chce jednak z czasem doprowadzić do dobrowolnego połączenia. Zdaje sobie przytem sprawę, że cel ten możnaby osiągnąć tylko przez stopniowy wzrost wzajemnego zaufania politycznego. W szczególności zdają sobie z tego sprawę młodzi nacjonaliści irlandzcy. Wyłącza to możliwość politycznych zamachów na Ulster ze strony południa, i stanowi gwarancję obliczalnej i powoli do celu zmierzającej polityki ze strony „niepodległościowców". Chodzi o prawdziwe przyciągnięcie Ulsteru do irlandzkiego państwa. Cel to bezwątpienia daleki. Narazie dużą pokusę dla dzisiejszych rządców Irlandji stanowią pewne gesty, jakgdyby uprzedzające wypadki. Prasa doniosła, że De Valera jakoby nosi się z myślą zaproszenia (nielicznych coprawda) członków sejmiku ulsterskiego, sympatyzujących z ideą zjednoczenia, do wzięcia udziału w obradach parlamentu Wolnego Państwa. Gest taki drażniłby Anglję, i to właśnie zalecałoby go w oczach wielu Irlandczyków. Przyjemnie im drażnić Anglję, narażać ją na upokorzenia. Jest to doraźny użytek, robiony z niepodległości, psychologicznie zrozumiały zupełnie. Jednakże, póki Ulster nie byłby naprawdę zagrożony, Anglja nie porzuciłaby prawdopodobnie postawy konsekwentnej neutralności, i na zaproszenie posłów z Ulsteru patrzyła tak samo obojętnie, jak na zignorowanie granicy między Ulsterem a resztą Irlandji na teraźniejszych znaczkach pocztowych w Wolnem Państwie.

NAJWAŻNIEJSZYM CZYNEM POLITYCZNYM TYGODNIA W POLSCE była deklaracja posła Rybarskiego, złożona imieniem Klubu Narodowego w Sejmie przy okazji dyskusji budżetowej. Przedewszystkiem doskonale zabrzmiała, nowym i dźwięcznym tonem, jakby sala sejmowa pozyskała nagle nieznaną akustyczność. „Żądamy nowych wyborów, wolnych od oszustw i terroru". Jakie to jasne w swej treści. Jak racjonalne zarazem, jako polityczny postulat w przededniu wyboru Prezydenta przez izby ustawodawcze. W Europie nowoczesnej nie może być silny żaden naród, w ktorym rząd nie posiada dostatecznego oparcia w opinji publicznej. Oburzenie, jakie postulat posła Rybarskiego wywołał w pewnych kołach sanacyjnych, było przedewszystkiem oburzeniem na myśl o rządach opinji publicznej, zgorszeniem, że ogół może poczuwać się do odpowiedzialności za losy kraju. Wszelkiemi sposobami przyuczają społeczeństwo do tego, żeby nie poczuwało się do żadnej. Ale i z punktu widzenia prawniczego postulat rozwiązania sejmu i przeprowadzenia uczciwych wyborów jest conajmniej poprawny. W „Gazecie Polskiej" padł bezmyślny zarzut, że poseł Rybarski chce być Nadprezydentem, bo tylko Prezydent może rozwiązać sejm, za zgodą rządu, a Prezydentowi nic dyktować nie można. Przedewszystkiem: opinja ma prawo żądać wszystkiego, co uważa dla państwa za pożyteczne. Ma prawo nawet żądać zmiany Konstytucji, określającej kompetencje najwyższych organów w państwie. Ale wracajmy do kwestji prawnej: Prezydent jest nieodpowiedzialny. Rząd ponosi odpowiedzialność za wszystkie czynności Prezydenta, on właściwie tylko działa. „Zwiększenie władzy prezydenta" jest i w teorji konstytucyjnej i w praktyce tylko zwiększeniem władzy rządu. Rządu, w zasadzie, odpowiedzialnego. I niema nic niewłaściwego w postulatach i żądaniach, kierowanych przez przedstawicieli opinji kraju pod adresem odpowiedzialnych czynników.

UPADEK KULTURY W POLSCE po wojnie światowej naogół jest niewątpliwy. Dzielnie opiera się mu dzielnica zachodnia, gdzie ludzie pracują pilnie, gruntownie i uczciwie. Przyczyna tego upadku tkwi głównie w nagłem rozszerzeniu się życia, co wydźwignęło na wierzch warstwy szerokie, a jeszcze nie wyrobione. Tak, naprzykład, doraźne powstanie licznych szkół napotkało na brak nauczycielów odpowiednich, których zastąpiły wielkie masy niedouczków i głów pokręconych. Na najwyższych stopniach nauczycielstwa ma Polska obecnie ludzi ciemnych, pysznych z wyniesienia swojego, ufnych w swoje związki a przez to złośliwych i szkodliwych. Rządzą nimi z ukrycia mafje żydowsko-masońskie, a im się zdaje, że to oni sami rządzą. Kiedy się przegląda podręczniki szkolne, dziś obwiązujące, rozpacz ogarnia, że tych bzdurstw muszą się uczyć dzieci niewinne. Podam jeden z wielu przykład typowy: w „Gramatyce polskiej" dla szkół powszechnych liczba mnoga od zaimków „kto i co" ma być „nikt i nic". Nie wiadomo — śmiać się, czy płakać nad temi bredniami. Książkowe wykłady gramatyki, geografji, arytmetyki, geometrji, historji i t. d. są tak zawiłe, ciemne, tak chaotycznie prowadzone, a niby na poglądowej metodzie oparte, że trzeba, o ile kto sam dziecko swoje uczy, wszystko odrzucać, i własnym przemysłem, własną intuicją pedagogiczną, dziecko

oświecać. Nowe pokolenie narodowe, które nadchodzi, oczekuje praca herkulesowa uprzątnięcia tych śmieci i stworzenia nowej literatury szkolnej, podręcznikowej, oraz nowych metod nauczania. Ten sam trud oczekuje to pokolenie na wszystkich polach pracy.

NAUKA I LITERATURA

ZADANIA DUSZPASTERSKIE ŚWIECKICH

KSIĄŻKA ks. F. Machaya *), którą pragnę omówić, posiada trzy zasadnicze zalety. Skupia ona w sobie bardzo bogaty materjał, treść jej podana jest w formie jasnej i przejrzystej, wreszcie — i to może rzecz najważniejsza — autor rozumowania swe prowadzi konsekwentnie do końca, unika niedomówień, wniosków ostatecznych się nie lęka i dzięki temu wyjaśnia wiele nieporozumień, które dotąd na stosunku ludzi świeckich do zadań życia religijnego ciążą. W pierwszej części książki mamy wskazówki metodyczne, jak należy organizować akcję katolicką, i owo duszpaterstwo świeckie, do którego każdy człowiek, sakramentem chrztu i bierzmowania uświęcony, ma prawo.

Ramami akcji winny się stać parafje, dekanaty i djecezje. Należy jednak w pracy unikać szablonu i pilnie baczyć na warunki lokalne, oraz na poziom kultury tych, którym mamy apostołować. Niesłychanie ważnym warunkiem jest dobór współpracowników akcji. Czynniki kierujące winny wybierać do tej pracy ludzi o wypróbowanej wartości i moralnej i umysłowej. Jeśli bowiem na polu duszpasterstwa nie stanie elita społeczna, wtedy, zamiast korzyści, mogą z apostolstwa świeckiego, tak dziś zalecanego przez Kościół, wyniknąć tylko szkody dla tegoż Kościoła.

W części drugiej zajmuje się autor szczegółowo zadaniami duszpasterzy świeckich. Z konsekwencją i szczerością, którą podkreśliłam na wstępie, stawia on sobie tak palące zapytanie, dlaczego pomimo licznych bractw, zakonów trzecich i sodalicyj, podniesienie duchowe ludzkości nie postępuje, i odpowiada na nie z równą szczerością i konsekwencją. Oto treść zasadnicza tej odpowiedzi: W życiu religijnem wymienionych powyżej zrzeszeń za dużo bywa dewociarstwa, a za mało istotnej pracy nad wzmożeniem życia wewnętrznego. Trzeba więc poznać dobrze treść naszej wiary, trzeba ją ukochać, umieć przepoić każdy, choćby najmniejszy uczynek świadomą moralnością, krzesać w sobie ducha ofiary i poświęcenia, wytoczyć walkę egoizmowi, by móc sprawować owocnie pracę duszpasterstwa wobec innych. W obowiązkach apostolstwa świeckiego rozróżnia autor trzy grupy. Do pierwszej należą obowiązki indywidualne, do drugiej rodzinne, do trzeciej społeczne. Obowiązki indywidualne spełniamy przez modlitwę, żywe słowo i przykład. Obowiązki rodzinne winny prowadzić do wzmocnienia stanowiska rodziny, w myśl encyklik *„ubi arcana“* i *„casti connubii“*. Autor, zgodnie z innymi pisarzami religijnymi dzisiejszej doby, nie zamyka oczu na tragiczne położenie rodziny chrześcijańskiej, której przesilenie ekonomiczne nie pozwala na należyte spełnianie obowiązków. Podkreśla on też dobitnie ogrom zadań, jakie ma do spełnienia Akcja Katolicka, by tej rodzinie powrócić dawną godność. Walka z nędzą, z wyzyskiem pracy przez kapitał winna tu iść równolegle do walki z nieładem seksualnym. Należy dążyć do takiego układu stosunków społecznych, któryby jedynie ojca skazywał na pracę zarobkową poza domem, wracając matce jej świętą rolę wychowawczyni.

Bardzo interesujący i pełen jasnego, trzeźwego sądu jest rozdział o obowiązkach społecznych duszpasterzy świeckich. Ks. Machay rozpatruje w nim na wstępie stosunek Kościoła do polityki i stwierdza, że Kościół wtedy tylko ma obowiązek ingerencji, gdy polityka ta sprzeciwia się jego nakazom. Władzy winni są pracownicy na polu Akcji Katolickiej poszanowanie. Akcja ta nie może krępować społeczeństwa w wyborze form tej władzy. Rodzą się one bowiem z całokształtu danych warunków dziejowych. Wolno więc społeczeństwu obierać taką formę rządu, jaka mu dogadza. O ile władza żąda pogwałcenia praw bożych i praw natury, obowiązek posłuszeństwa wobec niej ustaje.

W stosunku do partyj politycznych świeccy duszpasterze powinni pamiętać, że choć kierownicy Akcji Katolickiej muszą stać ponad partjami, i choć stowarzyszenia, wchodzące w skład Akcji, nie mogą być kołami stronnictw politycznych, to jednak osoby pojedyńcze, biorące udział w jej pracach, mają zupełne prawo należenia do tych stronnictw, które nie głoszą zasad przeciwnych religji. Bezczynność wobec zagadnień politycznych, abstynencja wobec wyborów do gmin lub ciał ustawodawczych jest nawet błędem, bo nie można przygotować społeczeństwa do prowadzenia polityki w duchu zasad chrześcijańskich, jeżeli ludzie, ideałami chrześcijańskiemi ożywieni, od tejże polityki będą się usuwali. Ustęp ten kończy ks. Machay słowami biskupa Delamaire, który po rozdziale kościoła od państwa takie dawał wskazówki i duchowieństwu i świeckim: „Musimy rozpocząć wychowanie obywateli. Pierwszym warunkiem wypełnienia tego zadania jest, by się wszyscy katolicy zastanawiali nad tem, że i w sumieniu i z woli Boga mają obowiązek polityczny, który, jeśli zostanie wykonany wiernie i mądrze, zapewni ludziom, braciom naszym, chleb powszedni, wolność wiary i zbawienie dusz. Jeśli zaś ten obowiązek będzie przez katolików zaniedbywany, jednostki i społeczeństwa będą przez to wydane w ręce swych najgorszych wrogów“.

Oto treść książki, która prostotą i jasnością swą, przy szerokości objętych horyzontów, przeorywa głęboko myśl czytelnika. Autor, pisząc ją, spełnił czyn żywy i krzepiący serca tych, którym wybrnięcie z tragicznych powikłań doby obecnej, w myśl nauki Chrystusowej, leży na sercu.

MARJA DYNOWSKA

*) Ks. dr. Ferdynand Machay. „Zadania duszpasterskie świeckich“. Książnica Akcji Katolickiej nr. 17. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, Warszawa, Wilno, Lublin.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO I ARTYSTYCZNEGO

W operze warszawskiej ma być wkrótce wystawiona część pierwsza „Marchołta“ Jana Kasprowicza. Autorem kompozycji muzycznej jest młody, utalentowany muzyk p. Kondracki. Reżyserję tego dzieła wziął na siebie Zelwerowicz. Z za kulis dochodzą pochlebne wieści o zaletach kompozycji, resztę wieczoru operowego zajmie balet Karola Szymanowskiego „Harnasie“, uznany za arcydzieło muzyczne tego kompozytora, znajdującego się u szczytu swego rozwoju. Przedstawienie to będzie wybitnem zdarzeniem w świecie artystycznym.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Instytut Literacki w Warszawie przyśpieszył właśnie tempo swej działalności wydawniczej. Otrzymaliśmy niedawno nowy pokaźny tom: „Pisma krytyczne wybrane“ Antoniego Sygietyńskiego. Nad układem książki i wyborem tekstów czuwał Zygmunt Szweykowski.

Fortunny zamiar towarzyszył tu wydawcom. Sygietyński, powędrowawszy do historji literatury (zob. Korbut, IV), zapominany jest zwolna jako pisarz. Niepospolita kultura, którą dobrze wyrażała proza piękna autora „Świętego ognia“, ukształcony na wzorach najlepszych smak artystyczny tego miłośnika słowa, muzyki i sztuki, ostry zmysł niepobłażliwej krytyki, którą Sygietyński podejmował dookoła — wszystko to zyskuje coraz bardziej walor historyczny, zamknięty w swojej epoce, naprzekór wartkiemu życiu. Walor ten trzeba zrozumieć. Sygietyński uzyskał w czasach własnych wysoką rangę literacką, „świetny krytyk, tęga umysłowość, pierwszorzędny stylista“, położywszy niewątpliwie największe zasługi dla otrąbienia zwycięstwa naturalizmu w literaturze. Oto jego miejsce w krytyce.

Jeśli dziś z zaciekawieniem i chętnie, niby rzecz najbardziej świeżą, czytamy tom owych studjów i *essey*'ów

(rodzaj u nas zaledwie uprawiany) — tajemnica to przedewszystkiem talentu literackiego autora. Skrzą się jego karty obserwacją bystrą i subtelną, nastawioną ostro i prawdziwie inteligentną, często złośliwością sądu i wszelkiemi powabami pióra. Na treść książki złożyły się pozycje następne: obszerne studjum, drukowane niegdyś w „Ateneum" (lata 1881—3), „Współczesna powieść we Francji", oceniające twórczość Gustawa Flauberta, Alfonsa Daudeta, Emila Zoli i braci Goncourt, — oraz wybór artykułów cyklu „Z literatury i sztuki", ogłaszanych w „Wędrowcu". W wyborze owym znalazły się szkice o prozie Konopnickiej i poezji Hajoty, a także szereg uwag z dziedziny sztuk plastycznych.

Poprzedził książkę obszerną przedmową p. t. „Pierwszy etap walki o naturalizm w Polsce" dr. Zygmunt Szweykowski. Badania nad historją powieści (Rzewuski, Kaczkowski) doprowadziły go do epoki pozytywizmu, której jest dziś Szweykowski jednym z najlepszych znawców. Pogląd ogólny na te czasy pogłębiał autor szeregiem studjów nad zagadnieniami szczegółowemi, które opracowuje monograficznie: Prus, Dygasiński, Kasa im. Mianowskiego i t. d. Wstęp obecny ocenia ważne sprawy literackie epoki, zarówno na gruncie obcym jak polskim, oraz wyznacza wśród nich, w pierwszym szeregu miejsce Sygietyńskiego. Książka pośmiertna, niechże umocni przekonanie, że dzieła trwalsze są, niż ręce, które je wznosiły. (T. M.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wypróbowany przyjaciel i tłumacz literatury polskiej, utalentowany poeta czeski Adolf Gajdosz wydał niedawno w pięknej szacie nowy swój tomik, zatytułowany „*Triptych vánoční*" („Tryptyk Bożego Narodzenia" — ed. „Murowianka", Brno). Czytelnikowi polskiemu rzecz ta może być szczególnie bliską, bo niedość, że język czeski (zwłaszcza na Morawach) tak jest pokrewny naszemu, ale i sama treść „Tryptyku" zbliża się do naszych kolend i jasełek. Szopkę polską zwłaszcza przypomina w pewnej mierze nowela p. t. „*Slava Bohu na vysosti!*" — gdzie m. in. pojawia się zabawna postać urzędnika celnego, służbistego, ale w gruncie rzeczy niezłego człowieka, który nie chce wpuścić Marji z Józefem do Betlejem; w ostrym kontraście z ważną chwilą oczekiwania Zbawiciela postawiona jest ciasna mentalność biurokratyczna, czepiająca się błahostek. Zakończenie tego utworu, tchnące rzewnym liryzmem, daje nam poznać w Gajdoszu nietylko tęgiego artystę, ale i głęboko wierzącego człowieka. Liryczne nastrojenie ma widocznie twórczość Gajdosza, skoro i w pierwszej noweli „*Ave Maria*" akcja właściwa na drugi plan schodzi. Niewątpliwie doczekamy się przekładu tych utworów na język polski. Zapomnieliśmy już nieco o liryce czeskiej, która jest czeskiej literatury bodaj największą ozdobą. Po Bunikiewiczu nikt już — od lat dziesięciu — nie dał na tem polu większych przekładów. (J. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

OPRÓCZ wystaw zbiorowych, styczeń w Zachęcie przyniósł nam także t. zw. „Kolekcje prac". Jan Marylski wystawił szereg obrazów, przeważnie portretów. Wszystkie w kolorze powściągliwe i dyskretne, nie pragną rozwiązywać takich np. zadań barwnych, jak u Kapistów; mimo to niemal w każdym widać usiłowania artysty, traktującego każdą twarz jako nową, inną plamę barwną.

Odchylenia te są przeważnie wypadami poza obręb barwy brunatnej.

Modele nie odznaczają się — jak u Lentza — dosadnością rysów, i spokojnej regularności kształtów odpowiada spokój środków interpretacji malarskiej. Jest w tym umiarze nieco jakby apatji, chociaż dłoń artysty włada pendzlem pewnie i ze swobodą. Marylski mógłby pogłębić wartość swych płócien, przez położenie większego nacisku na ich stronę kompozycyjną, rozszerzając dotychczasowe sposboy rozmieszczania portretowanej, przeważnie półpostaci, na prostokącie płaszczyzny.

Mieczysław Trautman ma zbiór akwarel. Wykazują one już pewną, wcale przyzwoitą, znajomość techniki akwarelowej, ale zarazem nieładnie świadczą o męskości ich autora. Uczciwe to, owszem, lecz jakże grzeczniusie! pozatem sposób ujmowania odtwarzanej natury zanadto prymitywny: główka w lewo, główka w prawo, główka *en face*. W naturze i na fotografji tak bywa, przeczyć trudno, poco jednak artysta ma to powtarzać?

Pani Marja Huthowa, lwowianka, wystawiła grafiki, wykazując w nich sporą znajomość arkanów rytownictwa. Teraz więc z kolei, powinna przejść od studjum z natury, traktowanych jako wprawki dla zapoznania się z techniką — do istotnych dzieł sztuki, kompozycyj.

Pan Michał Czepita zademonstrował kwiaty i akt za wachlarzem. Jeśli chodzi o „kwiaty", nie widzę powodów, dla których tego rodzaju utwory mają być przyjmowane na wystawę; jeśli zaś chodzi o akt — widzę aż nadto wiele, dla których winien być czemprędzej wyrzucony.

WIKTOR PODOSKI

FILM

PALACE: „Siostra Angelika", film czeski.

Subtelny i wartościowy utwór, świadczący o niewątpliwych ambicjach artystycznych jego autorów — scenarzysty i reżysera. Stwierdzając pewne niejasności i nieprawdopodobieństwa scenarjusza, trzeba przyznać jednocześnie, że błędy w nim popełnione, wynikają poniekąd z tego samego szlachetnego założenia: lepiej, szukając, popełnić czasem omyłkę, niż na „pewniaka" operować starym, zużytym szablonem. Fabuła mogła tu pójść po linji jaskrawej sensacji (jest to historja dwu sobowtórów; tancerki z dancingu i bliźniaczo do niej podobnej zakonnicy). a film, przeciwnie, snuje swą opowieść, operując półtonami. Tancerka, za usiłowanie zabójstwa, w obronie własnej, dostaje się na rok do więzienia. Tam opiekę ma nad nią ta właśnie siostra — sobowtór. Ubłagana zakonnica, z litości, zgadza się zostać w celi przez dzień, aby tancerka mogła w jej stroju zakonnym wydostać się niepostrzeżenie z więzienia i udać się (na 24 godziny) do miasta. Tak się składa jednak, że tancerka wrócić nie może i rzekoma skazana odsiaduje za nią resztę kary.

Po roku eks-zakonnica znalazła się na wolności (niejasność scenarjusza: dlaczego przez cały czas nie mogła wyjaśnić omyłki?); obie: ona i tancerka mieszkają w tem samem mieście, nie spotykając się. Młody muzyk, który kochał tancerkę (a znał ją b. krótko), wyśledził miejsce zamieszkania; zjawia się u tej, którą uważa za swą umiłowaną i nie może zrozumieć zmian, jakie w niej zaszły. Nie może zrozumieć, dlaczego (siostra jest teraz pracownicą igły, skromna, cicha, zamknięta w sobie, jak dawniej) udaje, że go nie zna i czułości z jego strony traktuje, jak napaść natręta (tu następuje szereg zdarzeń jeszcze bardziej komplikujących sytuację).

W końcu, w cieple uczucia, którego doświadcza ze strony młodego człowieka, a skierowanego przecież naprawdę nie do niej, biedna siostra załamuje się. W tym momencie obie kobiety się spotykają, wszystkie nieporozumienia zostają wyjaśnione i muzyk odjeżdża z właściwym przedmiotem swych uczuć, a zakonnica odchodzi tam, skąd przyszła — do klasztoru.

Reżyser, typ artysty analityka, lubuje się w zbliżeniach i nieco ich nadużywa. Wypowiada się szczegółami, operuje wymową fragmentów, zaś najlepszy jest w montażu, gdzie, obok połączeń już znanych, zastosował wiele świeżych chwytów, ciekawych i b. pomysłowych. Należy podkreślić jeszcze właściwe operowanie aktorem.

W podwójnej głównej roli, Zuzanna Marville gra b. inteligentnie i dyskretnie.

Strona dźwiękowa nie dorównywa reszcie.

KANDYD

ERRATA: Prof. Ignacy Chrzanowski prosi nas o zamieszczenie sprostowania omyłki, która zaszła w jego artykule (Nr. 8 na str. 88 szp. 2) o historji literatury polskiej J. Kleinera, mianowicie: „Pokrewieństwem z Sienkiewiczem autor obdarza wspaniałomyślnie nie Macieja Wierzbińskiego, lecz panią Kossak - Szczucką".

W tymże N-rze, w utworze p. K. Iłłakowiczówny, w części VI wiersz trzeci z końca niepotrzebnie rozczłonkowany na dwa wiersze.

OFENSYWA

TO I OWO

I

EMIL Ludwig (Cohn) w monografji o Wilhelmie II. „W r. 1901 mówi:

— Przeprowadzę to przedłożenie wojskowe za wszelką cenę. Rozpędzę do djabła zwarjowany parlament, jeżeli będzie robił opozycję.

— Durnie! — barany! — oto stały epitet jaki stosuje do posłów i dziennikarzy".

„Cesarz ma katar. Lekarz nadworny pociesza go, że to mały katar, a na to Wilhelm:

— Wielki katar! U mnie wszystko jest wielkie"!

„Wilhelm uważał się za świetnego fachowca militarnego. Zaczął chodzić na GRY WOJENNE do sztabu generalnego i pleść głupstwa. Szef sztabu v. Schlieffen wstydził się nieuctwa cesarza, ale nie mógł mu tego wytykać. W porozumieniu więc z dworem cesarskim zaczął wymyślać różne historje, ażeby tylko umysł cesarza odwrócić od tych rzeczy. Raz powiedziano mu, że w sztabie generalnym jest odra, kiedyindziej coś innego. Gdy jednak cesarz uparł się, że będzie na jednem z takich ćwiczeń, przez adjutanta doręczono mu właściwe ROZWIĄZANIE zadania. Cesarz nietylko nie obraził się tem, ale z wielką przyjemnością zaczął w sztabie debatować nad zadaniem, wyzyskawszy przedtem podane mu rozwiązanie zadania"

II

Wojciech Kossak w „Wspomnieniach" swoich, tym razem nie o cesarzu Wilhelmie, a o marszałku Fochu i generale Pershingu:

„Gdy jednak po wypadkach majowych byłem u marszałka Focha przywitał mnie słowami:

„*Ecoutez Kossak, j'adore votre Piłsudski, c'est un homme fort!*"

Ecoutez Kossak, czy byli przy tem świadkowie?

III

Wywiad z dnia 18 paźdz. 1930 („Kurjer Poranny"):

— „Ja otwieram tylko drogę, po której iść należy i która w swoim rozwoju po kilku dobrych latach, da jednak lepsze i większe rezultaty, niż ludzie myślą".

IV

Wojewoda, dawniej poseł, dawniej major Marjan Kościałkowski dnia 28 lutego 1927:

— „Począwszy od maja 1926 r. państwo nasze odgrywa pierwszorzędną rolę na terenie międzynarodowym. Wewnątrz nastąpiło uspokojenie umysłów i skierowanie polityki na tory gospodarcze. Rezultatem tego jest to, że sytuacja ekonomiczna znacznie się polepszyła. Daje się to zaobserwować na każdem polu: czy to w handlu, który się pomyślnie rozwija, w przemyśle, który nie tylko wraca do norm przedwojennych, ale zaczyna je przewyższać, czy to w rolnictwie, które zawdzięczając udzielonym mu przez rząd kredytom wydatnie się podnosi i zaczyna normalnie pracować. Społeczeństwo już odczuwa, że z każdym prawie dniem życie staje się łatwiejsze, a dobrobyt obywateli wzrasta".

V

W „Słowie" wileńskiem, w styczniu r. 1933 poseł Mackiewicz (Cat) pisał:

„... jest bardzo wielkiem dziełem Marsz. Piłsudskiego to, że dziś najliczniejszy polityczny obóz Polski skierowuje swe siły nie na zwalczanie ludzi, mających inne zdanie, lecz na przekonywanie ludzi, mających inne zdanie"

VI

Czytamy w „Słowie Polskiem":

„Kadeci lwowscy rzucili myśl postawienia we Lwowie pomnika wielkiemu kapłanowi-patrjocie, śp. biskupowi Bandurskiemu. Myśl ta znalazła żywy oddźwięk. Zebrano już 15.000 zł., pochodzących głównie z drobnych składek. Obecnie organizuje się komitet obywatelski budowy pomnika. Postanowiono zwrócić się do p. Prezydenta i p. Piłsudskiego z prośbą o protektorat. Uchwalono również powołać do życia komitet honorowy. Jako miejsce na pomnik wybrano plac Cłowy. Celem powiększenia funduszów, a przedewszystkiem rozpowszechnienia idei budowy pomnika — postanowiono wydać pocztówki z podobizną ks. biskupa Bandurskiego. Na budowę pomnika przeznaczony jest dochód z broszury Kwiatkowskiego pt. „Wyspiański — Bandurski — Piłsudski".

VII

W tymże Lwowie, w grudniu r. 1932, Przysposobienie Wojskowe Kobiet rozlepiło afisze, zawiadamiające że dnia 6 grudnia odegraną zostanie staraniem kobiet przez siły amatorskie P. W. K. sztuka p. t.: „Święty Mikołaj, pułkownik niebieski".

VIII

W „Przeglądzie Więziennictwa Polskiego" z maja r. 1932 w sprawozdaniach imieninowych marcowych, w referacie z Pomorza czytało się:

„W Starogardzie, w więzieniu karno-śledczem odegrano komedję „Chrapanie z rozkazu". Na poranku, jaki odbył się w dniu 19 marca, wygłoszono odczyt p. t. „Życie i czyny Budowniczego odrodzonej Polski", zakończony gromkiemi krzykami na cześć Dostojnego Solenizanta. Następnie odegrano obrazek sceniczny „Sen o Piłsudskim" oraz tragifarsę „Emeryci", Obecnie więźniowie z zapałem przygotowują się (już po imieninach) do odegrania sztuki „W starym piecu djabeł pali".

IX

Książka pt.: „Oficer".

Zalecona do użytku służbowego rozkazem pana Wiceministra Spraw wojskowych.

Autor ppułk. dypl. Berling (pisał wstęp do polskiego wydania Sforzy), i do pomocy mjr. Próchnicki i kapt. dypl. Kramar. Przedmowa gen. brygady Łuczyńskiego.

Z tekstu:

„Nie chcemy być posądzeni o zamiar narzucania poglądów i zdań w sprawach, o których w tej książce mowa".

„...Poczucie, że starania nasze bodaj w drobnej mierze przyczynią się do szybkiego choćby tylko zorjentowania się oficerów w różnorakich sytuacjach życiowych, były nam pobudką i otuchą w pracy".

„Pantofle są dodatkiem koniecznym, potrzebnym zawsze, gdy się zdejmuje obuwie".

„W użyciu są kołnierzyki różnych rodzajów, mniej lub więcej rozpowszechnione"...

„Trzewiki lakierowane gładkie są wykonane z czarnej skóry lakierowanej".

„Przy wyborze chustek do nosa można sobie pozwolić na dużą swobodę, trzeba jednak pamiętać o ogólnej zasadzie, że muszą być one w dobrym gatunku i nie mogą być zbyt jaskrawo kolorowe, ani podobne z rozmiarów czy wzoru do chusteczek, używanych przez panie".

„Należy zwracać zawsze uwagę na zapinanie wszystkich guzików".

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Antysemickie zachowanie się Tatr w czasie zlotu Macabi do Zakopanego wywarło silne wrażenie w kołach „sanacji". Wiatr halny w takiej chwili uroczystej jest niedopuszczalny. Kiełkuje myśl zaprojektowania ustawy, ograniczającej autonomję Tatr, w każdym razie poddanie stacyj meteorologicznych pod ściślejszy dozór.

*

Jak słychać, na żądanie profesorów Stefki, Czernego, Wałek-Czerneckiego, Czumy, Zakrzewskiego oraz sen. Rostworowskiego projekt ustawy o szkołach akademickich ma być uzupełniony artykułem, zakazującym młodzieży noszenia z sobą jaj. Woźni w asystencji rektora będą dokonywali rewizji osobistej, przyczem jaja będą konfiskowane narówni z bronią palną i sieczną (mieczykiem) oraz zieloną wstążeczką.

*

Na posiedzeniu sejmowem dnia 7 b. m. p. minister Jędrzejewicz z „wysokiej trybuny", z której słyszała go „cała Polska", zaprotestował, w imię obrażonej moralności, przeciwko okropnemu zjawisku napadów, dokonywanych przez nieznanych sprawców. „Metody te" — mówił — „są sprzeczne z elementarnemi wymaganiami etyki, metody te są barbarzyńskie, wyzbyte z wszelkich cech honoru, metody te są metodami tchórzów!"

Jak mówią, p. min. Jędrzejewicz, ma dla zadokumentowania swego stanowiska w najbliższych dniach złożyć wizyty b. ministrowi Zdziechowskiemu, red. Dołędze - Mostowiczowi i red. Nowaczyńskiemu..

*

Książę Janusz Radziwiłł, b. minister Beselera, zainteresował się ostatniemi czasy prowincjami zachodniemi Polski, tak niespodzianie dla niego uzyskanemi. Teraz dużo mówi o Pomorzu, ale — jak wiemy — szczególnie jest zainteresowany Śląskiem.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półrocz. zł. 24, rocznie zł 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.